

LUDWIK ŁAKOMY

---

112467

II

# Święta Barbara Skarbnik i Zabrzeski

GÓRNOŚLĄSKIE  
LEGENDY GÓRNICZE

„Autorowi należy się szczerza wdzięczność  
za to, że przypomniał dzisiejszemu światu,  
iż górnictwo śląskie ma swoją starą i piękną  
tradycję.

Legendy te są prawdziwymi perłami poezji  
ludu polskiego na Śląsku”.

*Roczn. Tow. Przyjaciół Nauk na Śląsku.*

WYDANIE DRUGIE W CZWÓRNASÓB POWIĘKSZONE.



SZCZĘŚĆ BOŻE !

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI KATOLICKIEJ — KATOWICE — 1933

---

NAKŁADEM I DUKIEM FIRMY „ST. ŚWIĘCKI” SPÓŁKA Z OGRAN. ODPOW.  
W DĄBROWIE GÓRNICZEJ.

LUDWIK ŁAKOMY

---

# ŚWIĘTA BARBARA SKARBNIK i ZABRZESKI

GÓRNOŚLĄSKIE  
LEGENDY GÓRNICZE

„Autorowi należy się szczerza wdzięczność  
za to, że przypomniał dzisiejszemu światu,  
iż górnictwo śląskie ma swoją starą i piękną  
tradycję.

Legendy te są prawdziwymi perłami poezji  
ludu polskiego na Śląsku“.

*Roczn. Tow. Przyjaciół Nauk na Śląsku.*

WYDANIE DRUGIE W CZWÓRNASÓB POWIĘKSZONE.



SZCZĘŚĆ BOŻE !

1 9 3 3

NAKŁADEM I DRUKIEM FIRMY „ST. ŚWIĘCKI“ SP. Z OGR. ODP.  
W DĄBROWIE GÓRNICZEJ.

11589/62

-5L9c2

112467  
II

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Copyright by Ludwik Łakomy.

Guziakiewicz I.  
K-c, ul. Różyczki 7  
6.10.62 15.-n



(153)

*Panu Inż. L. Szeferowi*

*dedykuje*

*Autor.*

## TREŚĆ:

1. WSTĘP.
  2. RECENZJE I-go WYDANIA
  3. SKARBNIK.
  4. OJCIEC ŚW. BARBORKI
  5. BRAT ŚW. BARBORKI.
  6. SŁUGA PANA ZABRZESKIEGO.
  7. KRES POKUTY SKARBNIKA.
  8. JAK BRAT ŚW. BARBORKI NIE CHCIOŁ  
OSTAĆ W NIEBIE.
  9. ZAKOŃCZENIE.
-

## WSTĘP.

Gdzie tkwiła tajemnica upartej i niezłomnej polskości G. Śląska? Co sprawiło, że lud od siedmiu niespełna setek lat uciskany, nie pozwolił zgermanizować się? Otóż dla Górnosłązaka wiara była jedyną ostoją i ochroną polskości: Kościół przechował ziarno narodowe, — bronił przed germanizacją. I dlatego lud górnośląski jest jednym z najreligijniejszych plemion na świecie. Wiara jego — daleka od fanatyzmu lub dewocyjnej hysterji — jest głęboka, szczerą i żarliwą. Stanowi istotną konieczność duszy — jak zresztą dla całego narodu polskiego. Religja katolicka i polskość są tu z sobą tak nierozdzielne, jak Lelum-Polelum w tragedji Słowackiego. Prawie że jedynym źródłem polskości dla G. Śląska były w znacznej mierze w okresie niewoli klechdy i podania religijno-narodowe, „wieść gminna“, w których bytowała przedewszystkiem szczerą i żarliwą cześć dla Boga, dla Świętych Pańskich, mądrość i doświadczenie myśli zbiorowej wszystkich pokoleń, co odeszły w inne życie, w nich ukrywał się talizman miłości ziemi rodzinnej.

Górnosłazak — duchowo bryłowaty i kanciasty, jak wydobywany przezeń węgiel, małomówny, jak każdy zazwyczaj człowiek mocny, nie mający w sobie źdźbła lekkości, wdzięku, niefrasobliwości, zacięty i umięjący nienawidzić, ale umięjący także miłować, jak nienawidzić potrafi — ma duszę ogromnie poetyczną i lubiącą żyć wspomnieniami „jak to bóło kieś“

(jak to było niegdyś). Te wspomnienia, ta wieść gminna zastępywały mu cały szereg umiejętności i one to utrzymywały w nim ducha obywatelskiego, czującego się jedną z resztą Polski. Nie trzeba dodawać, jaką rolę w tym procesie zjednoczenia duchowego odgrywała jedność aż do połowy XIX wieku diecezji krakowskiej z G. Śląskiem. Każde duchowo niezłomne oraz skryształizowane społeczeństwo czerpie swe wierzenia i światopoglądy z ożywczego źródła Religii, będącej dla ludzkości wyrazem potrzeby, zdumienia, grozy i tęsknoty, jakie płyną z życia.

„Zachwyt i rozpacz, radość i cierpienia, spokój i niepewność, upojenie i nieprzemierzona tęsknota — powiada prof. Jan Rozwadowski — wyzwala ją twórczość religijną“. Człowiek chce rozumieć życie, wszystko móc i umieć, mieć ufność bez granic, czuć głęboką radość, spokój i siłę. W swem dążeniu religijnem szuka, poza zmiennymi zjawiskami życia, właściwego ich sensu i jakiejś głębszej rzeczywistości ostatecznej przyczyny i zasady wszechrzeczy, — co wszystko znajduje: w Bogu! Wierzenia w Boga doprowadzają do żywej oraz prawdziwej legendy religijnej.

Już w dzieciństwie słyszałem cały szereg legend. Gorliwym ich zbieraczem był Ojciec mój ś. p. Andrzej, z którym razem odwiedzaliśmy niewidomego górnika-inwalidę, Hajdę — w Piekarach Śląskich. Ten, zaiste Homer ludowy, snuł z głębi swej artystycznej duszy czarodziejskie klechdy, przemawiające do serca i rozumu swą analogją. Klechdy te rozchodziły się wśród całej rzeszy górników na Górnym Śląsku i były doprawdy jednym z filarów odrodzenia narodowego Piastowej ziemi. Takich opowiadań, z których biłoby tyle uczucia, tak prosto wyrażonej miłości dla uciemiężonej Ojczyzny — nie znajdziemy w skarbcu

podani ludowych. Mieści się w nich przedstawiona w sposób ludowy cała martyrologja ludu polskiego na Śląsku. Mieści się w nich iścizna ostatecznego argumentu należenia do kultury polskiej, potu zgiętego całe życie grzbietu, trudu splekanych do krwi czarnych rąk górników, budowniczych rzeczywistych potęgi przemysłowej Śląska. Jak już wspominałem, legendy narodowo-religijne sprawiły, że duch polski, pomimo zaciekłych ataków germanizacyjnych, ostał się niespożyty wśród Górnoszlązaków. Zwłaszcza podania o św. Barbarze — spolszczonej, ześląszczonej — ducha tego utrzymały.

Legendy, w niniejszym zbioru przytoczone, po większej części zostały spisane przez mego Ojca, śp. Andrzeja oraz przezemnie z ust Hajdy i kilku innych górników. Starałem się oddać je wiernie w gwarze środkowo-górnoszląskiej, będącej w użyciu w obwodzie przemysłowym, prześpiwnej, czarującej naszej gwarze o skargowskich zwrotach, wyrazach rdzennie staropolskich, które domagają się prawa obywatelstwa w dzisiejszej mowie polskiej. W tych prostych i nieskomplikowanych legendach przewija się jedna, najważniejsza myśl: przyrodzonego prawa do wolności nikt Górnoszlązakom wydrzeć nie potrafił. Brzmiały w nich niemal ewangeliczne akordy: wyzwolenie przez cierpienie. Dziw bierze, jak biedny, niewidomy górnik, bynajmniej nie sentymentalny, mógł z tak artystyczną, a przytem prymitywną finezją oddać uczucia i nastroje swych współbraci. Widać z legend, że zaprawione one są buntem i goryczą oraz przedziwną mocą wielkości. Widać z nich to, co tak pięknie i głęboko określił ś. p. Teodor Tyc: „Górny Śląsk nie jest cukrową siełanką. Nie jest pełnym gestu dramatem. Jest prozą, pełną życiowej mądrości. Dużo tam pracy realnej i du-



zo kamieni. Czasem, ale tylko czasem, na tych rudych, kopciem okrytych hałdach, z pośród żużli i popiołów trudu powszedniego, niedostrzeżony przez samych jego mieszkańców — wykwita tęczyowy kwiat poezji“.

Ze studjum samych legend baczny czytelnik odniesie takie wrażenie, jak je pięknie określił „drogi kamień wyorany ze śląskiej gleby“ Gustaw Morcinek: „...ktoś przed tobą stary foljał o pergaminowych kartach roztworzył i czyta ci z nich językiem, którym ludzie w Polsce przed wiekami mówili, językiem dostojnym a namaszczoneym, bo po królach Piastach w spadku otrzymanym“.

Bowiem jedyną ostoją polskości na Górnym Śląsku poprzez wieki był chłop i robotnik, opierający swą poprostu biologiczną tężyznę plemienną o najistotniejszy wykładnik kultury: język. Ten wykładnik kultury znajduje swoje najżywsze odzwierciedlenie w legendach górniczych, czarujących swą bezpośredniością, dużą siłą napięcia uczuciowego i mocą oddziaływania prostotą prawdy. Być może niema w nich literatury i artyzmu, lecz żyje w nich dusza ludu, który je tworzył. Niepodobna ich czytać bez głębokiego wzruszenia. Samorzutność, bezpośredniość i szczerość — oto charakterystyczne cechy tych legend. Są one komentarzem niewoli. Są pełne głębokiej wiary w jasną przyszłość G. Śląska. Są przejawem zrozumienia i cenięcia wolności.

W zakończeniu mego przedślowia składam z głębi serca płynące „Bóg zapłać“ za zachęcenie mnie do wydawnictwa niniejszych legend: ks. dr. E. Szramkowi, dyr. inż. St. Majewskiemu, prof. A. Jesionowskiemu oraz Zakładowi Graficznemu „St. Święcki“ a zwłaszcza ich dyrektorowi p. L. Nowakowi.

*Dąbrowa Górna w listopadzie 1932 r.*

*Autor.*

## RECENZJE I-go WYDANIA „LEGEND“.

### I.

Drowi Ludwikowi Łakomemu należy się szczerza wdzięczność za to, że przypomniał dzisiejszemu światu, iż górnictwo śląskie ma swoją starą i piękną poezję. W gwarze środkowo-górnośląskiej, używanej w obwodzie przemysłowym i trafnie oddanej, przytacza trzy legendy o Skarbniku, o Zabrzeskim i o św. Barbarze, spisane z ust ludu, przeważnie zaś według opowiadania niewidomego górnika-inwalidy śp. Hajdy z Piekar, którego nazywano Wernyhorą śląskim i Homerem ludowym. Ujęcie jest miejscami wysoce poetyczne. Zbiorek Łakomego jest tem cenniejszy, że legendy, przez niego podane, nigdzie dotychczas drukowane nie były a ponadto w sposób ciekawy i dotąd nieznanym łączą i spletają legendy skądinąd oddzielne.

A) Skarbnik W „Powieściach ludu polskiego na Śląsku“, które w roku 1869 z ust ludu zebrał Lucjan Malinowski, a które 1899/1901 w Akademji Umiejętności drukiem wyszły w tomach IV/V Materiałów antropologiczno-archeologicznych i etnograficznych, legend o skarbniku niema wcale. W roku 1863 wspomina je krótko Gramer w Chronik der Stadt Beuthen in Oberschlesien, str. 321. Wrocławskie Mitteilungen der Schlesischen Gesellschaft für Volkskunde przytaczają zato cały szereg podań o skarbniku (zeszyt VIII. (1901), str. 46—48, zeszyt XII. (1905), str. 63—81). Znajdujemy je tak samo w Dąbrowie Górniczej, gdzie je zanotowała Zofja Bukowiecka (cfr. Zalew kopalni — Legendy górnicze, Katowice 1908, nakł. „Polaka“, str. 25—29 oraz w powieści dla młodzieży Historia o Janku górniku, wyd. IV 1925, str. 207—212).

Legendy o skarbniku, jako duchu opiekuńczym kopalni, mają być pochodzenia niemieckiego. Czytamy np. w Oberschlesische Volkskunde Alfonsa Perlika: „Die Berggeistsage ist rein deutschen Ursprungs und hat nur da ihr Verbreitungsgebiet ge-

funden, wo deutsche Bergleute im Bergbau tätig waren, eine Weiterentwicklung im oberschlesischen Raume ist bis heute noch festzustellen. Die Bezeichnung der Sagenfigur als Skarbnik entstand erst zu Beginn des 19. Jahrhundert\* (Das Deutschtum in Polnisch-Schlesien, Ein Handbuch über Land und Leute, Plauen i. Vogt. 1932, str. 123). Właśnie u Łakomego mamy dalszy rozwój tej legendy.

B) Z a b r z e s k i. Niewątpliwie polskiego pochodzenia są podania śląskie o Zabrzeskim. Malinowski Zabrzeskiego nie wymienia, nie znają go także etnolodzy niemieccy, ale stary Karol Miarka na tle tych legend osnuł swoją powieść górnośląską „Żywcem zamurowana“. Niezależnie od niego zarejestrował historyk Zabrza ks. dr. Józef Krossalla w Geschichte der Stadt Hindenburg O/S cztery legendy o Zabrzeskim (str. 303—305). Dalsza legenda, podana tam za Oberschlesische Heimat II, 107, jakoby Marcin Luter był synem Zabrzanki z kowalem o końskim kopycie, zdaje się być śladem zlania podań oryginalnie śląskich o Zabrzeskim z niemieckimi podaniami o Berggeist, czyli skarbniku.

C) Ś w. B a r b a r a. Ogólnie znana legenda o św. Barbarze wcześniej była rozpowszechniona także w Polsce. Nad Bałtykiem wiercono, iż znajduje się tam relikwia głowy św. męczenniczki, która w wojnie Krzyżaków ze Świętoplekiem odgrywała pewną rolę. Kult św. Barbary był żywy na Pomorzu, w Wielkopolsce i na Śląsku. Na całej tej linii poświadczane są stare bractwa św. Barbary. Dzisiaj św. Barbara jest obok św. Jacka patronką diecezji katowickiej.

Legendy górnicze, ogłoszone teraz przez dr. Łakomego, odznaczają się tym pięknym rysem, że łączą legendy o św. Barbarze z podaniami o skarbniku i o Zabrzeskim. Skarbnik—to jest ociec święty Barborki, kiery ją przeżgoł mieczym i skiż tego musi pokutować na grubie (legenda pierwsza).

W legendzie drugiej i Zabrzeskiego córce było na imię Barbara, która to niby na świętą prachtykowała i jak jeny mogła, ludziom pomogła. Ścigana za to przez ojca westchła sie gorąco i spomniała sobie swoja nieboszczka mamulka, kiery bóło Ana na imię i jak nie tąpnie w ziemia — ludzie na świecie — zaroski wyrosła srogo góra, że ani na nia wliść, ani sie wdropać. Jest to Góra św. Anny, notabene z bazaltu, a więc pochodzenia wulkanicznego. Gdy Zabrzeksi córkę wreszcie znalazł przy zakopanych skarbach swoich pod ziemią, zamordował ją tamże i natychmiast skarby jego zamieniły się w węgiel. Zabrzeksi zaś za pokutę pod

ziemią się błąka i górników przed niebezpieczeństwem ostrzega. Tam, gdzie św. Barbara została uśmiercona pod ziemią, powstała pierwsza kopalnia i ludzie założyli tu Zabrze.

I trzecia legenda, osnuta około prastarego krzyża kamiennego w Łagiewnikach (cfr. Powiat Świętochłowski, Monografie Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku t. I, Katowice 1931, str. 45), wiąże się z św. Barbarą, lecz przybliża się niepostrzeżenie do znanego podania śląskiego o śpiących rycerzach i nabiera charakteru wybitnie narodowego. Najprawdopodobniej mamy tu przed sobą utwór śp. Hajdy samego.

Pod krzyżem w Łagiewnikach pochowany jest braciszek św. Barbary, który po jej męczeństwie i po strasznej śmierci ojca Zabrzeskiego umarł z tęsknoty. Stary sługa (uosobienie ludu tubylczego) odwiedza ten grób i rzewnie się modli. Gdy pod rządami niemieckimi udręczenie było już nieznośne, stary sługa tak płakał nad grobem panicza, że jego ślęzy przewiercały ziemię i dostały się do serca martwego synka. Ten obudził się i jon nasłuchować, o czym to ozprowio stary. Radził mu poszukać ojca Zabrzeskiego. Sługa szukał i znalazł (zwrot ku Polsce). Lecz stary Zabrzeski (uosobienie Polski) był mocno zmieniony. Osmęciły go podziemia. Siedział, jakby apatyczny, i zapomniał na chwilę pilnować kopalni śląskich, przez Boga mu powierzonych. Zapaliły się gazy i nastąpił wybuch. Ratuja się górnicy, lecz stary skarbnik nie ma ani ździebka sił. Na grzbiecie wynosi go stary sługa i spotyka św. Barbarę, która go szybko do Łagiewnik posyła po brata, aby oboje orędowali u Boga za ojcem. Stary Zabrzeski otrzymuje nową ciężką pokutę, kopalnie zaś przechodzą teraz pod opiekę jego syna, którego Barbara św. we wszystko pod ziemią wtajemnicza. A sługa stary jako pustelnik na Górze św. Anny zaczął pokutować za własne winy i za grzechy swego pana Zabrzeskiego.

Przyznać trzeba, że legendy, uratowane przez dra Łakomego, są prawdziwemi perłami poezji ludu polskiego na Śląsku.

*Xs. Xan. Dr. E. Szramek.*

III t. Roczn. Tow. Przyj. Nauk na Śląsku str. 414—416.

## II.

### „SKARBNIK“ i ŚW. BARBARA.

Stara legenda o opiekunce górników, św. Barbarze, i duchu kopalń, którego w Cieszyńskim nazywają Pusteckim a na

Górnym Śląsku Skarbnikiem — Zabrzeskim, mało komu znana jest w całej swej osnowie. A jest to jedna z najpiękniejszych legend, jakie wogóle skarbiec podań ludowych posiada. Znany z swych pięknych opowiadań górniczych w Radjo Katowickiem i nieprzeciętny pisarz regionalny Ludwik Łakomy, zebrał wszystkie z św. Barbarą i Skarbnikiem związane opowiadania i złożył je w piękną całość. Część tych legend słyszał z ust śląskiego Homera ludowego, górnika Hajdy. Oto w głównych zarysach owe legendy, które p. Łakomy od zagłady ocalił.

Święta Barbara była córką srogiego pana w bardzo dawnych czasach. Pan ten „tam za brzegiem Odry naprzeciw Gogolina mieszkał... bogacz srogi, niby jaki berchdyrecktor... Uci- skoł ludzi, pastwił się nad nimi, na „pańskie“ to ci każdy nie- dziela gnoł, a katował, aże krew sikała, kiej kiero chłop nie zwijoł się drab-drab. Tego grofa mianowali Zabrzeskim, że to niby za brzegiem miszkoł, a ludzie dycht przezywali go jeszcze: Skarbnik,— a to skiz tego, że miał srogie bogactwa zakopane, kajś wele Gliwic. Póńboczek obdarzył go tyż małym synkiem i ceruszką, kiero bóło Barborka dane na chrzcie świętym. A ta frela bóła pobożno, a grzečno, a skromno, a szwarno niby leluja i każdego tydnia spowiadała się, a każdy dzień komunikowała rzy- kała (modliła się) zaś ciągiem, porząd. Toć ta Barborka niby na świętom prachtykowała, to jak jeszcze mógła — tak ludziom po- mógła“.

Zacytowałem rozmyślnie tak długi ustęp charakterystyki głównych postaci legendy w tej jędrnej i rzewnej zarazem gwa- rze środkowo-górnośląskiej, by dać pojęcie ile poezji, głębokiej pobożności, pokornej czci tkwi w prostych słowach górnika, przejętego legendą i jej opowiadaniem. Ojciec Barborki był czło- wiekiem nad wyraz okrutnym. To też Barborka postanowiła oca- lić lud za poradą św. Doroty, wywieść go jak drugi Mojżesz z krainy okrucieństwa pod kaplicę św. Doroty. Ale nim doszli pod kaplicę, dopadł ich pościg Skarbnika-Zabrzeskiego. Ten mści się na biednym ludzie w okropny sposób. Córkę zamurowuje do lochu, ale Barborka wychodzi cudem i prosi o łaskę dla ludu. Ojciec rozszierzony a bynajmniej nie wzruszony cudem, odpy- cha córkę: „Cof się, Barborka! Jo musza się rozprawić z tymi chacharami.— A w tyn moment Pońbóczek natchnął ta święto fre- la, i jak ci ona nie tąpnie w ziemię, tak zarozki wszyscy ludzie znikli. A ś nimi Barborka. — A tyn grof sie drze: A wy pieroń- skie gizdy...!“ i nie panując nad sobą, przebija swoją córkę, któ-

ra odtąd staje się opiekunką górników, jak nim się stać musi przymusowo Skarbnik, skazany na wieczny żywot pod ziemię, zobowiązany ostrzegać górników przed grożącymi niebezpieczeństwami. Tę część legendy, bardziej znaną, wzbogacił dr. Łakomy mnóstwem nowych szczegółów, ubrał ją w przepyszny język gwarowy, który legendzie nadaje przepyszny urok swą prostotą, serdecznością, głęboką pobożnością, humorem.

Najoryginalniejszą i prawie zupełnie nieznaną częścią całej legendy — to podanie o synu Zabrzeskiego, bracie św. Barborki. (Zaznaczyć należy, że legendy podane przez dr. Łakomego dotąd nigdzie tak obszernie i w ten sposób złączone nie były drukowane!) Ostatnia część podania o synu Zabrzeskiego ma duże znaczenie narodowe, polityczne, bo wplata w opowieść momenty ucisku germanizacyjnego.

Syn Zabrzeskiego, po śmierci siostry i karze ojca wiednie — i w krótkim czasie umiera na rękach starego sługi, zostawiając swe ziemie i bogactwa uciskanemu ludowi: „No i dobrze! Co się nie robi! Sługa zrobił mu fajny pogrzeb, a na jego grobie w Łagiewnikach doł postawić krzyż“. Niedługo jednak lud cieszył się wolnością i ziemią: „Górny Ślązek objon Wielki Fryc, doł dziedzino Zabrzeskich jakiemuś srogiemu Miymcowi... a ten pieroński mamlas zarozki wszystkich chłopów popędził do roboty...“ Rozpoczęły się straszne czasy pod Niemcem, którego lud, choć się go bał, nie uznawał za pana: „kiej by to ból pon z pana — to nic! Ale ta paskudno marcha przywiózł ze sobą trówla z lichymi szatami i jakoś zębato, ryszawo i piegato groca, co u niego przódzi bóla za klucznica, a potę, jak miała ś nim mieć dziecko, to się ś nią ożylił...“ Legenda opowiada dalej o potwornych mękach, jakie lud pod Niemcem cierpiał — w tak plastyczny sposób, z tak okrutnym realizmem, jak dotąd żadna pisemna relacja nam podobnego opowiadania nie przekazuje. W tych męczarniach znajduje biedny sługa tylko ulgę na grobie swego młodego pana, budzi go na chwilę do życia i opowiada mu, co się dzieje. Syn Skarbnika wybucha żalem: „Moja to ziemia górnośląsko, gromadzko! Moja to glina, tyn wiatr, tyn szum! To górnośląsko ziemia płacze, rzyko, skarży się... Ziemia rodzono od wieków! Przecież to dla moich ludzi miała rosnąć ta rza (żyto), dla nich kwiatki i owoce“ — a sługa natychmiast podchwytuje: „Toć widzą, panocku!, a ta germańsko marcha na waszy dziedzinie tak katuje ludzi...“

Jakie uczucia budzić musiały podobne opowiadania, powtarzane od ust do ust, jak silnie przemawiać do serca i rozumu swą analogią! Może i tu leży część tej tajemnicy polskości Śląska i jego wskrzeszenia. Siła pięknych podań ludowych, to jeden z filarów odrodzenia narodowego Górnego Śląska.

Jak kończy się legenda? Stary sługa idzie na poszukiwanie Skarbnika (Polski!). Znajduje go zamyślonego, zatopionego w rozważaniach nad męką ludu, i w tem zamyśleniu zapomina o swych obowiązkach. Dochodzi do katastrofy na kopalni (germanizacja postępuje!). Za karę zamyka go Pan Bóg w skałę węgla (rozbiór Polski) a straż nad górnikaми i kopalniami powierza synowi Skarbnika — aż do chwili, kiedy ojciec winę swą odpokutuje.

*Trzy legendy — odrębnie żyjące w ludzie — połączone w jedną piękną całość, stanowią całą epopeję górników śląskich, skarbnicę patriotyzmu, poezji, „krwawych wspomnień minionej doli, prymitywnego czaru ciężkiej pracy“.*

Ocalenie tych legend od zagłady i zapomnienia, połączenie ich w logiczną całość — to zasługa dra Łakomego. Przypomniał przy tej sposobności Polsce Śląsk dawny i dzisiejszy Śląsk pracy i modlitwy, lud krzepki, wytrwały — i, mimo ciężkich warunków bytowania, obdarzony pogodą i humorem.

*Alfred Jesionowski.*

Kurjer Poznański z 15. IX. 1932 r.

---

## SKARBNIK.

Głębiny podziemne, które dla niegórnika tworzą tak bardzo grozą przejmujący, oddzielny świat, mają swe cudne legendy, mają przepiękne pieśni. Pieśni te, zwłaszcza religijne, brzmią w głębinach kopalni uroczyście, rzewnie: zdają się przebijać grubą skorupę ziemi, pod którą pracują górnicy i wznosić się wprost z piersi górnika do Boga.

Górnicy — ludzie, którzy codziennie wychodzą z domu bez pewności, czy do niego powrócą; idą, poleciewszy dusze Patronce swej św. Barbarze, idą tam, dokąd ich wzywa obowiązek, połączony z wszelkiem niebezpieczeństwem. A jednak wracają co dzień do tej pracy niebezpiecznej coprawda, ale jakże pożytecznej! Gdyby oni nie narażali swego życia, tysiące rodzin marzłoby z zimna, stanęłyby fabryki, pociągi, parowce — bo węgiel jest ich duszą. Po ten węgiel zjeżdżają oni pod ziemię: jak żołnierze walczący z ukrytym, nieznanym i przepotężnym wrogiem. Śpiewem i pobożnem westchnieniem broni się górnik przed niebezpieczeństwem. A jest ich dużo. Bowiem ziemia nie oddaje swych skarbów bez walki. Wszystkie żywioły: i powietrze i ogień, woda i skały, czychają na śmiałka, który odważy się na wykopywanie kopalin podziemnych.

A władcą owych cennych minerałów jest duch kopalń znany w całej Polsce pod nazwą Skarbnika, na Śląsku — z dodatkiem Zabrzeskiego. Duch kopalń nie



pokaże się lada komu. Starzy górnicy prawią, że wydaje się, iż to jest zwyczajny sztygar, tylko że zamiast jednej stopy ma końskie kopyto; tego każdy nie spostrzeże, a jeszcze w kopalni, gdzie panuje mrok. Zaczyna to duch. Nie ukrzywdzi nikogo, lecz przeciwnie — chętnie w pracy pomoże, przed śmiercią ustrzeże, ale karze surowo za każde uchybienie czy to przepisom, czy też etyce chrześcijańskiej. Często, zdaleka, zdaleka mignie lampą o czerwonym świetle, zapuka w strop — a to już zły znak — bo pewnie się tam wyrobisko zarabuje. Pewien stary górnik z kop. Hillebrand opowiadał mi co następuje:

„Wy, młodzi, ciągiem padacie, że nima Skarbnika. Nima — boście, go jeszcze nie obocyli. Józef go zaś widział — i to mi styknie. Tóż wiedzą, panoczku. Kiej miał być tyn wybuch na „Gerhardzie“\*) dycht na dziewięć dni, szołech sie na stalunek. Szołech sóm, o kęs, że nie po ćmoku. Ida, ida — przyszołech... patrza — ani żywego ducha! Jeny stąple rzykają (modlą się) a rzykają, że zdo mi sie, kiejby jęcały: zmiłuj się nad nami, zmiłuj... Strach na mnie piznół, bo zdaleka, od przodków — idzie jakisi srogi sztajger. Przyszół, podniósł złoto karbitka, zaświcił mi w ocy i nic. Patrza i dziwują sie, bo jakóż! Sztajger nie sztajger — fajnisty kabot mo obleczony. Kulczoki (guziki) przy nim aże sie świecą. Szabla u boku, długo siwo broda aże po pas... Mój Pónbóczku kochany! Mrówki po mnie przeszły... Chca sie drzyć — ni moga. A on stoł, stoł, pokozoł na przodek i poszoł furt, kajś precz... Dziepiyro przed eksplozją, jako godzina nieskorzy, kiejch szoł pod szyb — tyzech go widzioł zdaleka, zdaleka... Tóż co się stało. Ludzie na świcie! Wyrwoł

---

\*) W sierpniu 1929 r. przy czym zabitych zostało 16 górników.

się tam gaz, a ogień i szesnustu chłopu społół (Dej im tam Panie Bożycu, radość wieczno!) a pięci srogo poparzőł. A wiedzą? Skarbnik — to jest ociec święty Barborki, kiery ją przeżgoł mieczym i skiż tego musi pokutować na grubie...”

O Skarbniku byle jak się nie gada; lepiej nawet na kopalni wcale o nim nie prawić, bo mogłoby się stać nieszczęście. Często o północy słyhać w podziemiach daleki, rytmiczny pogłos kującego perlika. To Skarbnik pracuje. Doświadczeni górnicy twierdzą, że wówczas strop jest najcięższy i wtedy zwykle zdarzają się wstrząsy czyli tąpnięcia. I stary górnik nigdy o północy nie będzie pracować, gdyż wtedy najwięcej rabuje się filarów — czeka, aż przejdzie godzina. Skarbnik też, gdy sobie kogoś upodoba, to pomaga mu i stale chroni przed niebezpieczeństwem. Jeżeli górnik chce go rozniewać — to gwizdże w kopalni, czego Skarbnik nie lubi. Jedynie tylko „na gwizdania kóniorzy i maszynioków nie zwożo, bo takich ta mamlasów nie mo za berchmonów“. Przesąd, aby nie gwizdać w kopalni jest w całej Polsce powszechny.

---

## OJCIEC ŚWIĘTEJ BARBORKI.

Legendę o Skarbniku-Zabrzeskim czyli ojcu św. Barborki opowiadał śp. Hajda z Piekar, niewidomy górnik — inwalida, zwany słusznie Homerem ludowym.

„Bóło to downo, bardzo downo, mocka (sporo) casu już przeszło, — chyba wtedy, kiej cołki Gorny Ślązek bół porośnięty lasami i pokryty takimi barzynami (moczarami) kiere jeszcze w lublinieckim krysie (powiecie) ostały. Dyć tam za brzegiem Odry, naprociw Gogolina,\*) miszkoł jedyn grof, bogocz srogi, niby jaki berchdyrechtór. Tyn grof miał ta cołko gornośląsko ziemia pod sobą, a taki bół zły, że na spóminek człeka dygotki biera, kiejby śmierć przeskoczyła... Uciškoł ludzi, pastwił sie nad nimi, na „pańskie“ to ci kożdo niedziela gnoł, a katowoł, aże krew sikała, kiej kiery chłop nie zwijoł sie drab — drab (szybko). Tego grofa mianówali Zabrzskim, że to niby za brzegim miszkoł, a ludzie dycht przezywali go jeszcze: Skarbnik, a to skiż tego, że miał srogie bogactwa zakopane kajś wele Gliwic.

Pónbóczek obdarzół go tyż malućkim synkiem i ceruszką, kiery bóło Barborka dane na chrzcie świętym. A ta frela bóła pobożno, a grzecno, a skromno, a szwarno, niby lelujka i kożdygo tydnia spowiadała się, a kożdy dzień komunikowała, rzykała zaś ciągiem,

---

\*) a więc może Krapowice ale prędzej dalsze okolice pod Sudetami, w których jak Zuckmantel kwitło górnictwo.

porząd (nieustannie). Toć ta Barborka, że to niby na świętą prachtykowała, to jak jeny mogła, tak ludziom pómogła.

Alé kataćtam (gdzież tam) mogła pómóc, kiej ją tyn ojciec tyż proł a katówoł, skoro obocył, że ona ludzi opatrzy. No i aże użolyła się nad nią święto Dorota, ta sama, wiedzą, z Grojca za Jordanem, co tyż wiedziała dobrze, jaki to smak mić takiego oica i ukozała sie Barborce we śniku. (Jordanem — nazywają Ślązacy rzekę Brynicę. W Grodźcu znajduje się dominująca nad całem Zagłębiem góra z kaplicą świętej Doroty na szczycie).

Ukozała sie i pedziała tak:

— Toż posłuchej mie jeny, dziółcha. Weź wszystkich ludzi i wyprowadź ich z domu niewoli od twego ojca. Idźcie za Odra, ciągiem przedsię idźcie, a dowej pozór na ta góra, kaj stoi moja kaplica. Jak już ją oboczysz, to bydziecie wszyscy bezpieczni. No i dobrze. Co się nie robi. Barborka wziena ci ludzi i prowodzi ich. A tu leci tyn jej ojciec z wojokami na końach, kierych bóło, hale bóło! Ludzie wdyrdy uciekają, jeny pocirze ze strachu rzykają, a Barborce o ździebko — serce — nie pęknie, co to bandzie. Tóż tak rzyko a rzyko, aż jej pot krwawy wystąpił na czoło. A tu halt! Płynie rzyka, niby Odra, kaj sam mostu jeszcze nie bóło. Modli się święto Barborka, o retonek dło ludzi prosi, aże ci ją Anioł Stróż natchnył i szarpła swój mantel z grzbietu, a ciepła go na woda. Toć dejcie sie jeny pozór, ludeczkowie moi złocił Zarozki bez rzyka położył sie most, po kierym uciekace przešli na drugo stróna. Wojoki zaś ze swym srogim panem ostoli stoć. Hale tyn pon kozoł im wbród płynąć bez rzyka. Toć płynęli a on przodzi. A cyście to zaś kiesi słyszeli, aby moc ludzko po-

redziła na moc Boża? Jak tyż ta rzyka zacyna sie burzyć a perkotać, kiej zimnioki w gorku, to jeny sztyrech chłopu wypłynęło na drugi brzeg. Dziepiyro pon Zabrzski zgromadził mocka rabusiów i insze chacharstwo i dali ścigoł swoja cera. Loce (leci), loce i już jest bliżučko niej. Tak Barborka westchła sie gorąco i spómniała sobie swoja nieboszczka mamulka, kiery bóło Ana na imie i jak nie tąpnie w ziemia. Ludzie na świecie! Zarozki wyrosła srogo góra, że ani na nia wliść, ani sie wdropać. Nim tyn grof objachoł ta góra, (kiero terozki nazywo sie góra świętej Anny), ludzie byli już kajś precz. Ale że grof bół zaciekły, to kozoł jechać i jechać. Toć jechali i jechali, o ździebko im kónie nie padły, zaś po dwóch dniach byli tukej, kaj terozki jest Zabrze. A stoł tam srogi pałac tego Zabrzskiego, kiery sam chowoł i szporowoł wszystkie swoje skarby. Bóły zaś pod nim takie lochy, ale lochy — pełne złota, śrybła. Samych „twardych“ (talarów) to bóło nie myni, jak sto korcy, a „złocioków“ (dukatów) tyż. No i co sie nie robi. Barborka myślała sie, że tukej ojciec już ich nie znajezie, a to skiż tego, iże bóło już widać góra święty Doroty. Toż kozoła wszystkim ludziom spać, a i sama kąsek sie czasu zdrzemła. Kiej tak spali, przyjechoł pocichučku tyn grof Zabrzski i patrzy: a tu jego cera śpi na klęczkach. Tak tyn pon łap ci Barborka za bandla (wstążkę), kiero bóła opowiniono na pyrczek (warkocz). Nim przecnęła, buchnął ją ze srogiej złości do lochu, kiery kozoł zamurować. I na ludzi! Jezusicku przenajdobrośliwszy, roztomiły!!! Toż kiej sie ci pobudzili, zrobili larmo a krzyk. I dali drzyć sie: „Freliczko złociuško, Panno Barborko, retuj nos, bo ginieymy!“

Kiej jeny Barborka to usłyszała, zarozki przecnyła i do drzwi: zamknięte, zamurowane. Tóż tak rzyko

do Poniezusiczka i prosi go ze łzami, coby tych ludzi retował. A tu patrzy — dźwierze sie ozwarły, zamurówka odleciała: tóż Barborka szła przód. I widzi, że tyn jej ojciec pierze ludzi aże strach. Przyleciała przed nich i dalej prosić:

— Tato, tatuliczku, dejcie jeny pokój, bo te ludzie nic nie winne. Joch ich namówiōła, coby ucikli.

A tyn grof pado:

— Cof sie, Barborka! Jo musza się rozprawić z tymi chacharami. A w tyn mómient Pónbóczek natchnył ta święto frela i jak ci ona nie tąpnie w ziemia, tak zarozki wszyjscy ludzie znikli, a ś nimi Barborka. A tyn grof sie drze:

— A wy, pierońskie gizdy! Moich skarbów wom sie chciało? I kozoł kopać loch, a sóm protiwszyjstkim czołgoł sie. Jak wóm tyż ziemia nie napocnie tąpać. Zawaliła cołko sztreka. Tóż jeny tyn Zabrzესki ostoł i znieobaczka spojrzoł, a tu w srogi kómorze, niby wyrobisku, stoją ludzie, a przy nich jego cera, kiero im dowo skarby, jakie on uszporowoł (zaoszczędził).

Tóż zamroczoło go, kiejby mu chto szołom żelazny włożoł na głowa. I z ty wściekłości jak nie wyjmie mieca, jak nie skocy na ludzi. A Barborka rozcapirzyła rączki i broni tych boroków. Grof zaś ból taki ozeżłony, że tyrpnął miecym ta swoja cera w same piersiątko. Zatrzepotała sie Święto Panienka, słodziuśkim głosikiem zaszczyrkała i gruchła na ziemia, a w tyn mómient, Anieli ponieśli jej duszycka do nieba. Grof stanył, jak zmartwiały. A tukej pierony biją dookoluśka, ziemia tąpie, kiejby chciała pochłonać wyrodnego ojca. Ukozoł sie Pon Jezus i pedzioł: — Skarbniku-Zabrzესki! srogie-ś uczynił zbrodnie... Nikogoś w życiu nie pożałowoł, nikomuś nie

przoł, jeny swoim skarhom. Ostatnio twa zbrodnia niewybaczalno jest, ale co poczna, kiej duszycka twoji ceruszki klęczy przed tronem Mojigo Ojca, Ponbóczka i błago o zmiłowanie dlo ciebie. Tóž dej se pozór, co ci powia. Ze skarbów, kiereś w ziemia zakopoł, ludzie ciepło mieć bydą. Ale muszą je w pocie coła dobywać. Ty zaś bandziesz pokutowoł w samotności i ciągiem bandzie cie żryć tesknota za zgładzono cera. To bandzie twoja nojcinszo kara. A tukej, w podziemiach, bandziesz się błakoł mocka, mocka casu. Bandziesz ostrzeżoł berchmanów przed śmiercią i niebezpieczeństwiy. Migniesz im lampką zdaleka, zaklupiesz w skała... Twoja zaś cera bandzie Patronką górników. I tak ta ostało już na wieki wieków. Dycko kiej górniki mają zjechać na dół, to rzykają do św. Barborki, a Skarbnik słucho i o ździebko mu stare serce nie pęknie. I tak sie ta błako a błako, wandruje a wandruje. Tam zaś, kaj święto Barborka bóła zamórowano, powstały pirsze kopalnie węglo, a ludzie założyli tukej miasto Zabrze. Taką jest legenda o ojcu św. Barborki, panu Zabrzeskim, z przezwiskiem Skarbnik.

(Zanotował Andrzej Łakomy w 1908 r. Autor słyszał ją w 1921 r.)

---

## BRAT ŚWIĘTEJ BARBORKI.

Tenże sam Hajda opowiadał również legendę o bracie św. Barborki, która jest prawdziwie apoteozą życia w kopalni. Brzmi ona następująco:

„Jak tyż ta święto Barborka pomeřła, a pon Skarbnik ostoł w kopalni wachtyrzem nad górnikami, nie ostało po nim więcy herbów (spadkobierców), jak synecek, kieremu na dwanosty rok dziepiyro szło. Ostoł sie tyż jedyn stary sługa, kiery tyż mocka nagrzyszył, kiej słuźół ojcu święty Barborki. Toć tyn sługa, jak jeny mógł, tak dogodzoł temu boractwu, ale ta ono nie mógło sie znaleść miejsca z tesknoty za tatulkim, a osobliwie za siostrą Barborką. Mijały dni, mijały: przeszła jesień, potym zima, aże synek zaniemógł. Wzion se tak bardzo do serca, że je sóm i kiej sie tyż połoźół tak i więcy nie wstoł. Zmarło sie boroczkwowi i kóniec wszyjskiemu. Przede śmiercią zawołoł starego słuęę i doł mu pedzieć, że wszyjskie swoje bogactfa, cołko jego dziedzina ozdowo ludziom, kierzy siedzą na jego grontach. No i dobrze. Co sie nie robi. Sługa zrobiół mu fajny pogrzeb i na jego grobie w Łagiewnikach doł postawić krzyż. I tak by ta już ostało, ale kiej Gorny Ślázquez objon Wielgi Fryc Brandenburek, doł dziedzina Zabrzeskich jakimuś srogimu Miymcowi. Padom wóm, to bóła potłora a nie człowiek. Z jego panówaniem na cołkim Śląsku nastało piekło. Gazdom i zegrodnikom odebroł gronta i doł



im pedzieć, że odtąd będą gospodarzyli na nich jak pańscy słudzy do tela, jak na to zasłużą, abo jak sie tymu Miymcowi uwidzi. Cyganiół potfora, że aż sie za nim kurzóło, tak cyganiół. Dziepiyro teraz ludzie przekonali się, co ta germańsko marcha wyprawio za brewerje, o kierych downi nichto nie słyszoł. Bo ta po prowdzie padając, tyn pon Skarbnik-Zabrzeski bół zły, ale zły! — toć nigdy takich breweryjów, nie wyprawioł, jak tyn Miymiec. A tyn pieroński gizd zarozki wszystkich chłopów popędziół do roboty na kopalnia, kajby żodyn kret tela gonków bez cołki wiek nie nawierciół co tyn chachar kozoł nakopać ludziom koždygo tygodnia. Kiejby to bół pon z pana — to nic. Ale ta paskudno marcha przywiózł ze sobą trówla z lichymi szatami i jakoś zębato, ryszawo i piegato graca, co u nigo bóła przodzi za klucznica, a potę, jak miała mić s nim dziecko, to sie s nią ożyniół i wszyscy ludzie musieli ji oddować wielgie hónory. Nadęte to bóło kiej trusiok, kiej zadrze chwost do wierchu i skrzydłami suszczy po ziemi.

A w Łagiewnikach stoł krzyż na grobie Skarbnikowego synka. I stoł tak a stoł tyn krzyż, mijały lata, zmieniało się wszyjsko i jeny stary sługa klęczoł po cołkich dniach u tego krzyża, a rzykoł i ciągiem płakoł. A mioł skóli czego płakać. Toć dejcie się pozór ludzie na świeciel. Wszyjscy ludzie klęni, żeby już cołki regimynt djobłów z piekła przyszoł i zabroł tego miymieckiego obwiesia, co ich tak srogo dręczoł. Jim chto mioł więcy dziecek, to więcy musioł robić, abo na pańskim polu, abo w grubie na dole, abo na wierchu. Byli ludzie, kierzy jak rok długi, nie widzieli tego bożego słonecka, bo wcas rano zjiżdżali na kopalnia dycki przed wschodem słońca, wyjiżdżali zaś po zachodzie. Piytnoście i szesnoście go-

dzin musieli robić na dzień i dostali zato pińć czeskich. Miymiec zaś śmioł sie kiej głupi i padoł, że to doś, bo chto je berchmonem nie potrzebuje chodzić na pański, jakby mioł iść, kie siedzioł cołki dzień pod ziemią w dziurze. I tyn germański chachar padoł, że sie ci ludzie bardzo dobrze mają. Kiej berchmana zabióło na kopalni, abo kiej umarł zwyczajną śmiercią, skóli tego, że mu już ta tyracka zjadła zdrowie, to jego rodzina musiała iść precz z chałupy i robić miejsce inkszemu górnikowi. Kaj mieli iść, o to ich Miymiec nie pytoł, bo świat je szyroki i daleki — padoł. Toż pognoł tyż do roboty tego starego słuęe, kiery ciągiem pod krzyżem klęczoł a rzykoł. Doł go na kopalnia, kaj słuęa robiół z jednym śleperem (szło mu na dwadziesty) co mioł wielgo wprowa w hajerce, a kieremu tatulka zabióło na fleku. I tak ta oba robili kaj we sztrece, abo tyż na filorze. Tóž tyn śleper bół fajny karlus, to sie tyż dycko zgodzili i fedrowali, ale fedrowali! Zaś tyn chłopecek pracowoł już od dwanostego roku życio na kopalni. Przy nieckach i kilofie wyróśł z dziecka na pachółka i karlusa. Terozki słuęa przekonół sie, że to nie życie, a najgorszy katowanie. Ze to już bół stary, toć ni mógl tak gipko robić, a sztajger zaś ciągiem krzyczół: drab—drab! — i proł tego słuęe, aże krew sikała. Wszyjscy ludzie mieli tylko jedno pociecha w swoji niedoli. Bez cołko szychta co moment śpiwali i rzykali do święty Barborki i bez to bóło im lepszy:

Barborko błogóśławiono, Męczenniczko Uwielbiono,  
Dej, by ci, kierzy rzykają, po śmierci się z Tobą  
[spotkają.

Święta Panno, coś jest w niebie, dej, by z nos  
[kożden do Ciebie

Przyszoł społem wielbić Boga, boć bez Niego  
[ani do proga.

A dycko najbardzi śpiwoł i rzykoł tyn stary słu-  
ga. A taki miół — padom wóm — żałośliwy głos, że  
chocia poniechtóry śleper, zwyczajnie kiej koždy śpi-  
czok, wypół jedyn — miół błozny w łebie — a nie  
rzykanie — to zarozki mu łzy stawały w oczach, kiej  
usłyszol sługowe śpiywanie. Dyć wszyscy wiedzieli,  
że kiej jeny rzykają, to pon Skarbnik Zabrzeski strzógł  
ich przed śmiercią i kalectwem. Aże górnik z cółkie-  
go Śląska złącyli sie w Bractwo pod wezwaniem świę-  
tej Barborki. I tako im bóło lepszy, bo ta po prow-  
dzie padając ni mieli smaków, ni... Ale wyglądalił  
Gęby blade, wychudzone, skóra na ciele obwisło.  
Uznają siel Te roślinki po polach i łąkach, te cho-  
joczki i drzewa leśne — wszystko to zwroco swe  
główki, gałązki i gałęzie ku światłu i słońcu. Jeny  
górniki nie mieli tego prawa na Bożym świecie.  
Z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, z miesiąca  
na miesiąc, z roku na rok — od najmłodszych łot  
chłopięcych aż do późnego wieku męskiego i do sa-  
my śmierci zjizdżali na kopalnia i robili tam po szys-  
noście godzin na dzień. Jeny w nocy mogli oglądać  
swoje dziecka, kiere już spały. Z żónami i przociela-  
mi prawie że nielza im bóło porozprowiać, bo i kiej.  
Berchmon przyszoł z kopalnia o dziewiąty wieczór do  
dóm, obmył sie ździebko, zjodł ta marno strowa —  
ciepły żur z zimiokami i szoł na krótki spoczenek, bo  
po drugi w nocy już musioł stawać i zaś sie wybiy-  
rać do ty samy co wcora tyraczki. Życie schodziło  
im w ciemnościach. Ani ta święto niedziela tyn pie-  
roński gizd germański nie doł ludziom ostać na bo-  
żym świecie, coby mógli chocia roz w tygodniu ucie-  
szyć sie słoneckiem i oddychać świeżym luftem.

A dziepiyro nejwinkszy nieszczyńście mióło sie zdarzyć. Jako -żech im już rozprowioł — pon Skarbnik Zabrzeski ostoł [wachtyrzem nad górnikami, coby im sie nie stało nic złego.

Błąkoł sie tyż po kopalniach, wandrowoł, a wandrowoł i ciągiem żarło go sumienie za zgładzono cera, to jest niby za święto Barborka. I stało sie, że go roz oboczył tyn stary sługa. Tóż lecioł w dyrdy za nim, ale go już ni mógl trefić. Od tego dnia stary chcioł robić z tym śleprym, z kierym przodzi urobioł wągiel, a ciągiem ślanikoł sie po zawalonych wyrobiskach i szukoł swego pana. Ale i o grobie Skarbnikowego synka tyż pamiętoł. Kóždego tydnia wyłaził po drabinie na wierch i szoł do Łagiewnik i płakoł nad grobym, a jego ślozy przewiertaly ziemia i dostały sie do serca martwego synka. Tyn obudził sie i jon nasłuchować o czym to ozprowio stary.

Dyć tyn opadoł mu o ucisku wszyjskich berchmanów, o nędzy jego poddanych, o tym germańskim chacharze, co wyzyskuje ludzi, o cołkim potoku niedoli i tyrania, kiery jest udziałem Śląska.

— Panoczku — padoł sługa. — To nie życie, ale nejstrosznijszy cierpinie. W tę roku widziotech roz kiesi światełko słonecka, na Wielganoc. A ludzie marnieją. Dziecka charlawe, nędzne, słabe. Tak jak ojcowie więdną w kopalni, toć one zaś po tych smrodliwych izbach, kiere nom tyn Miymiec doł na mieszkanio. Ale ledwie to odrośnie od ziemi i mo lot dwanoście, już musi razym z dorosłymi zjiżdżać na kopalnia i harować tukej bez szysnoście godzin. Dyć dziecka padają kiej muchy. Terozki nowięcy umiro od dwanostu do siedminostu lot. Panoczku! Przeca je lepszy zarozki, zabić, niż skazować na te stroszne, powolne męki. Synek zaś dziwoł się tym rzecom, o kierych za

jego żywobycio ani słyszoł. Tóż pedzioł do sługi:

— „Trza wóm sie przeca retówać chłopyl“

— Ale jak, panoczku, ale jak? — drżącym z rozpaczny głosem zagadnął sługa.

A skarbników synek prawiół do siebie:

— Moja to ziemia, górnośląsko, gromadzko... Moja to glina, tyn wiater, tyn szum... To górnośląsko ziemia płacze, rzyko, skarży sie... Ziemia rodzono, od wieków! Przecyz to dło moich ludzi miała rosnać ta rza (żyto), dło nich kwiotki i owoce.

A sługa podchwycił:

— Toć widzą, panoczku, a ta germańsko marcha na waszy dziedzinie tak katuje ludzi. Panoczku, poradzą nom coś, bo już nielza wytrzymać ty tyraczkil

Z grobu zaś wyszoł głos:

— Wytrzymiesz, chłopie, choć ta przydzie i pocirpieć — wytrzymiesz. Chocia i ono nieszczyńście farnońsko dzierży, ale wytrzymiesz. Tóż posłuchej, co ci powia: szukej jeny mego tatulka i dej mu pedzieć wszyjsko to, coś mie opedzioł. Dyć jeny dej sie pozór. On ta rada znajezie na tego pierońskiego Germana.

A tu zeszoł miesiącek i słoł sobie dróga srebrzysto. Kajś, wiosynnym radosnym chórem kumkały ziaby. Bez mrok zaczon przesiąkać wczesny, latowy świt. Tóż zarozki we dworze ból zwón, a na jego głos stowali ludzie i z bólem zapiekłym w oczach śli na „pańskie“. A akumony, feštery, i inksze szaforze bili chłopów, baby i dziecka, a poganiiali drab—drab. A sługa szoł na kopalnia i jeny patrzoł. Trząść nim jęno, kiejby z wielgi żałości. Serce kaminiało z bólu, kiery odczuwoł na widok męki śląskiego ludu, ciążyło w piersi, jak brzemie nieznośne. Tóż kiej go shangówali, sługa szukoł swego pana. Szoł, szoł, ciągiem przedsię szoł, ażę stanył. Na starem wyrobisku, — zdo

mu sie — że widzi starego Zabrzeskiego. Ścmiły mu sie ocy z zachwytu. A Skarbnik siedzioł. Siedzioł i dumoł. Strzógł, coby żodyn berchmon nie szoł do przodka, kaj sie zbierały gazy i połno ich bóto w filorach, gankach. Toć jeny stykłaby jedzino iskerka, a zapolółyby sie — od niich zaś inaras wągło, kiero osiodoł po stąplach, i załomach. Pilnówoł, a pilnówoł i dumoł. A pod szybem ludzie zaczyni śpiywać godzinki:

— Zaczniście wargi nasze chwalić Pannę Świętą,  
Zaczniście opowiadać cześć jej niepojętą.  
Przybądź nam miłościwa Pani ku pomocy...

Sługa zaś ciągiem porząd jeny patrzoł na swego pana, a nimógł sie napatrzeć. Bo jakóz! Widzioł terozki inkszego człowieka. Suchego i siwego, kiej wierbowy pień. Osmęciły go podziemia. Na gębie chudej, czarnej, smutnej widniały ślady cinszkich przeżyć; tkwiła w niej niezatarto godność wielkiego pana, zakrzepło wola, ból przeraźliwy, rozpacz... To bół pon Skarbnik-Zabrzeski.

A sługa patrzoł i o kasek mu serce nie pękło, kiej oboczół tak steranego pana. Już mioł wołać, ale że berchmony śpiywali terozki pieśń do święty Barborki, Patronki szczęśliwy śmierci — to sie trocha strzymoł.

Skarbnik zaś siodł sie nad wyrobisko i słuchoł, jak tyż ludzie pod szybem rzykają. Stare jego serce o ździebko nie pękło z bólu i srogiej żałości, kiej sie spómnioł na swoja święto cera. Toć dejcie sie jeny pozór, ludeczkowie moi złoci, jak to chłopa żarła teschnota! Gęba, niby z wągło wykuto i modre staliste ocy twardo patrzące, twardo i srogo, zaczyny osnuwać sie mgłą dojmującego bólu starości. Serce stare-

go sługi zapolowało się współczuciem, niby knot lampy od płomyka sztraegli (zapałki).

Głosem pełnym słozów, błaganio, szepnął:

— Panoczku, panoczku. Co to robią? Panoczku! Ale Skarbnik nie słyszał nic.

A musza wóm tyż pedzieć, ludkowie, że downi na grubach bóło blank inakszy, niż dzisiok. Sztajgry i nadgórniki mało wiela starali się o ludzi. Eli szół fedrónek, to ich więcej nie obchodziło. Dycko pon Skarbnik strzógł kopalnia. Ale jemu zmierzło się już wszystko. Myślał się — wylezie na świat — dyć go przestanie można gryść teschnota za zgładzono cera. I w tym momencie zapomniał dować pozor na kopalnia. A sługa z otwartym światłem, poszedł ku niemu do zagazowanego chodnika. Jezusie, Maryjo! Ludzie na świecie! Wyrwał się znieobaczka gaz... Tapło — roz i roz i roz!!! Krzyk, który mrozi krew w żyłach, krzyk zaskoczonych górników... Kiejby cołki świat wałół się... Sługę ciepło o spąg... Wszystkie zwóny zaczyni mu bić w głowie. Wszystkie gwiazdy migają przed oczami. Aż tu znowu huk!

Zewsząd robią larmo po rułach. Jezus! Maryjo! Dym, ogień...

A pon Skarbnik drze się:

— Ludzie, ludzie, do mnie! Jo was wykludzał!

Ludzie lecą do niego, rzykają;

— Święta Barborko, zmiłuj się, retuj nos, retuj! Lecą pochylnią pod górą... Wszędzie jęzory ognia, Wszędzie dym, smród...

Aże dolecieli do bona. Na drabiny... Pchają się i wyłazą, wyłazą. Pon Skarbnik chciał tyż, ale nie mo ani ździebka sił. Zwałół się na spąg. Sługa, który już był na drabinie, patrzy, że jego pon leży. Tóż złożył, podsadził się pod niego, włożył na grzbiet i dali do

drabiny. Włożył, idzie od szczebla do szczebla, idzie— zabaczony w popłochu, larmie, hałasie.

Ostatniem żdziebkiem sił wyłazi na wierch.

Lezie po drabinie, przystowo, bo здо mu się, że na barach swoich, strudzonych bez miary dźwigo, dzierży, trzymie ciężar całkigo świata.

Od nogów ciągnie cosik ku dołu. Zduszonej piersi brakuje tchu, tętna żył wałą w głowie, w rękach, w sercu...

Już blisko do wierchu, bliziućko...

— Ni moga, ni moga dali... — dyszy sługa — na żodyn sposób ni moga...

Grzbiet wygion, na plecach dźwigo skurczonego pana, kierego gęba przysypano czornym przesiąkłym marasem węgłowym, i zaś szoł, szoł i niósł Skarbnika.

I oto w pewnej chwili okazała sie piekno frela, w długi spodnicy, ze srogim mieczym w rączce, ze słońcem wele główki, kiej na obrazie świętym. Toć sługa zarozki ją poznoł...

To bóla święto Barborka! Pon Skarbnik tyż przecnył...

Omdlały, napoły uduszony od smrodu i marasu węglowego, wstrząśnięty okropną katastrofą, ale i dziecinnie szczynśliwy, ostatniem żdziebkiem sił uśmiechnął sie do ni.

— Barborko, Basiu rozłomiło! Ciebie jo widza?... A przeca Pónbóczek rozprowiali, coch cie zabiół...

Barborka spojrziała smutnie na ojca:

— Czamuście, tatulku, nie strzógli kopalnie, jak wóm Pónbóczek nakozali? Terozki czako na wos piekelno męka...

Pierś zatrzęsła sie w głuchem, milczącym łkaniu. Zaś z nieba porząd napoczyny bić pierony, kiejby



chciały zaklupoc na śmierć niepoprawnego grzyśnika. On zaś stoł kiej zmartwiały, bo terozki dziepiyro spómniol sie, że zaboczył strzec kopalnie i struchłoł, grozą przejęty nad morzem łez matek, wdów i sierot — przez niego pozbawionych synów, mężów, ojców. A święto Barborka nakozala cudującemu się słudze, coby leciol aże do grobu w Łagiewnikach, kaj leży jej brat i doł mu pedzieć, co Barborka kazuje, coby przyszoł ś nim na kopalnia. Toć stary w dyrdy polecioł. Kiej jeny przyšli oba z synkiem pana Zabrzeskigo otwarły sie dźwirza nieba i stanył w nich Pónbóczek z długą siwą brzodą, kiery bół razym z Synem swoim przenoświnszym Panem Jezusiczkiem, nad nimi zaś fruwoł Duch Święty. Pokozoł sie i pedzioł tak:

— Skarbniku Zabrzeskil To jo rozprowiom, Pan twój, kierych cie stworzół. Od tych chwile, aże do końca świata bandziesz zamurowany w węglu przechodził nejstroszliwszy cirpienio. Posłołbychcie zarozki do piekła, ale żeś zgrzyszył z teschnoty, że przajesz swoi cerze, kieroś zabiół, doczkom troszycka. Bo co ta lo mie znacy wiek, abo tysiąc loł. Toć bandziesz ciągiem jęczoł a rzykoł, a bydą cie gryść wyrzuty suminio na wieki wieków amen.

Aże odezwoł sie tukej Skarbników synek:

— Mój Pónbóczku nojroztomilejszy. Niech sie tyż ulitują nad tatulkim, a przyzwolą, cobych jo terozki strzógł górników na dole. Można tyż skiż tego mój tatulek bandzie gipko zbawióny...

Pónbóczek spojrzol na synka, mgła rozrzewnienio błysła mu w oczach, spojrzol, myśloł, broda sie poczesol i pado:

— Dyć prawda, że kopalnie ni mogą ostać bez wachtyrza. Ale co ty, synku, pocznies! Przeca sie nie znosz na hajerce...

Tóż święto Barborka klęka i pedziała tak:

— Panie Bożycku! Jo go naucza. Byda go klu-  
dzić po kopalniach to sie gipko naucy.

— Niech i tak bandzie — pedzioł Pónbóczek  
i zarozki niebo z wielgiem tapaniem zawarło sie.

A brat święty Barborki wzion kilofek sztygarski,  
oblókł górniczy kabot i poszoł ze swoją roztomiłą  
siostrzycką na kopalnia, obocyc jako tam je robota.

Sługa zaś wywandrowoł na góra święty Anny,  
kaj zaczon pokutować za winy swego pana. Bo i ón  
tyż mocka nagrzeszył, kiej słóžół ojcu święty Barborki.

I tak ta już wszystko jest aże do dziśka. Synek  
Zabrzeskigo terozki jest Skarbnikiem i bandzie do tela,  
aże jego ojciec nie odpokutuje swoich grzychów. Zaś  
sługa ostoł pustelnikiem, downo już pomer, a chocia  
jego rzykania nie wybłogały u Pónbóczka odpuszczynio  
grzychów dlo jego pana, toć zawždy ździebko ulżyły.

Krwawo i ęższko pokuta spotkała grofa Za-  
brzeskigo, ale wiedzą, łyzy krzywdzonego ludu żodną  
pokutą nie dadzą sie odkupić. Na tem miejscu zaś kaj  
ból grób Skarbnikowego synka, stoi do dziśka w Ła-  
giewnikach krzyż, kiery wszyscy mogą oglądać. Dyc  
jeny dejcie sie pozór, ludeczkowie moi złoci, może  
przydzie cas, że Pónbóczek daruje winy grzyśnikowi,  
boć Miłosierdzie Boże jest nieskończone“.

(Zanotował Andrzej Łakomy w 1908 r.).

---

## ŚLUGA PANA ZABRZESKIEGO.

„Roz jedyn młody siedlok z Leśnice oboczył jakigoś kocyndra, musi pielgrzymać, kiery szoł przez pola dycht bosa, aże zaczon sie dropać na górę. Ułożył sie tyż tyn siedlok nad boractwem, bo jakże, kiej nożki miał bosa i ostre kaminie, bergi, obstachy, opuki raniły je boleśnie; tyn zaś wandrus na nic nie zwożoł jeny dali i dali dropoł sie na tą górę, aże znikł z ocu siedloka. Znikł ta i znikł; nichto zaś nie wiedzioł, co sie ś nim dzioł, aże jedyn owcorz, kiery zbieroł zioła na liyki oboczył na górze chłopka, kiery kuł se grota w skale, a tak piyknie śpiwoł, że wóm padóm, tymu owcorzowi aże świrczki w oczach stawały, a śłozy ciurkiym leciały. Tyn zaś chłop, kiery miał brzoda aże po som pas, cołki grzbiet aże do krwie odarty, z kierego przyschłe strupy odrywały sie przy robocie i krwawiły, ale krwawiły, ciągiem jeny robiół a robiół. Kiej zaś przyszoł wiecór, tyn śpiwok ukłód sie na tą twardo skała i tak przez żodnygo przykrycio usnył. Toć tyn owcorz przyszoł do niego pocichućku, ściepł z siebie kozuch i przykrył wandrusa i zarozki śložł na dół do wsi.

Terozki dziepiyro, każdygo ranka, kiej jeny słonecko weszło, wszyjscy ludzie słyszeli, jak z góry leciało śpiwanie:

Barborko Święto, Patronko kochana,  
Wybow nos z cinszkiej niewoli Germana,

Pogrom niezbożne, złe syny w norodzie,  
Wiedz w święty zgodzie...

Dziwówali się zaś wszyscy, co ón sam jodo, kiej na ty górze psińco bóło. No to koždy do druga ozprowioł, co grzyśnik srogi dycht na ty górze miszko, skoro tak cinszko pokuta odprawio, ale n'ech go sóm Pónbóczek sądzi, mo w swoji opiece i zmiłuje sie nad boractwem. Tyn zaś pielgrzym cięgiem, rząd po rząd kuł na górze rostoliczne groty, insze figurki ale, ale! Aże zaczon schodzić do wsiów. Kaj jeny keryś biedok w choróbsku potrzebował retonku, cy to bóło w Leśnicy, Żyrowy, Oleśce, Dolny, Raszowie, a nawet w Gogolinie, dycki zjawioł sie pustelnik, zioła rostomajte warzył, maściami szmarowoł, a z wielgi pokory rany cierpiących, z kierych szoł smród, ale smród — boszkoł i padoł, że nie jest worcin, coby go święto ziemia nosioła, tak mocka na świecie nagrząszył, a nowieny na górnośląskiej ziemi. Zaś ta ziemia porząd bóła dło niego macochą. Dokuczoł nierozgłód, dopoloł chłód, ale nowieny wzbudzoł litosierdzie i użolynie swoim grzbietem krwawiącym. Przyszło chłód, zima aże okropa, a tyn borok chodzioł bosemi nożkami kaj popadło. Na tych nożkach skóra pękała na mrozie, a krwawe ślady szły wele cołki góry. I dycki tak chodzioł, przeszło już mocka lot, a ón chodzioł a chodzioł. Musioł tyż mić mocka pińędzów, bo wszystkich biedoków rod opatrówoł. Toć mu tyż ludzie przoli, ale przolił. Jakoś nieskoro przed tem, kiej cołki Śląsk nimógł już ścierpieć pierońskich germanów przyszły jakiesi nowe casy. Zima bóła, — Jezusie, Maryjko święto! Wszystkie pola stoły kiej głuche. Nad cołką śląską dziedziną kocyndrowały tumany owilgłe. I śniegi i mrozył Ón zaś, pielgrzym, odmroziół se noga, kiero napuchła niby dynia.

Tóż przestoł schodzić z góry, przestoł śpiywać. Mijały cołkie dni, a nichto nie widzioł samotnika. Aże tak w połowinie zimy zaczynny śłanikać sie po wsiach jakiesi ludzie, kierzy opytowali sie o pustelnika. Zarozki swojokom przisto do głowy, że to pewnikiem o pustelniku rozprawiają te karlusy, ale nie śmieli nic opedzieć pytacom, bo mieli to zakozane. Tóż nawet nichto nie odwożył sie iść na góra, bo w słowach pustelnika tela bóło mocy i tela rozkazu, że poniechtóry chłop dziwoł sie: Chto tyż to można bandzie? Cy jaki iszpechtór abo grof, co go tak musza słuchać? Aże przez świerki i modrzywie przedał sie głos, kierego nie slychano tukej downo; tóż zwónek zaszczyrkoł na dródze i ludzie oboczyli chłopecka w kómży, kiery kónia za uzda prowadzioł, a zwónioł i zwónioł, że zdo sie, iże świerki i modrzywie poklekają na te pobożne wołanie. Na kóniu pón farosz z Bytumia siedzą i dierzą Przenoświntszy Sakramynt; cołko bursa złotym dziergano, światłość bije od ni i od lica Wielebneho Pana, kiery chliyb Żywota, Ciało i Krew Poniezusiczka spragnionemu niesie. A furt jadą na ta góra, wyży a wyży, aże ludzie wiedzieli, że to do pustelnika przyjechali. I zarozki ozeszto sie po wszystkich wsiach, że pustelnik chory, toć za farorzem śli siedloki, zegrodniki, chałupniki z babami i dzieckami. Chto jeny zół, koždy szoł na góra, bo wiedzioł, że nad srogim grzyśnikiem Pónbóczek sąd sprawio. Aże go ujrzeli. Leżoł we wielgi światłości, z odmrożonych kulasów obleciały wszystkie paluchy, materyjo ze krwią dycht sie loła, a ón jeny śpiywoł:

Tego pokornie żądomy, niechaj cas pokuty momy,  
Bychmy wolni na sumieniu, byli przy ostatniem  
[tchnieniu.

Olij święty nasze zmysły i wiek życie bardzo  
[ściły,  
Niech okraś i oczyści, w łasce Bożej nos uści.  
Jako róża z ciernia wschodzi, Barborka się świę-  
[to rodzi,  
Z ojca grofa, drogo perła, godno niebieskiego  
[berła.  
Jezuska Noświntsze Ciało, kiere na krzyżu wisiało,  
Niech w uściach, sercu panuje, dusza moja po-  
[siłkuje.  
Bandzie Pónbóczek chwołony, z cnót twych i z nos  
ucieszony;  
O, Barborko, Panno Święto, dło Pónbóczka  
[z ziemi wzięto.  
Wdzięczno wiosna, twoje życie, przyzno, Panno,  
[to obficie  
Kozdy, co w Twe bieży tropy, i całuje święte  
[stopy.  
Lelijo mieni się w róży, kiej górnik z piekłem  
[się sroży  
Za ta Panna rod dom głowa, nad wszelko ludzko  
[wymowa.

I kiej skóńczołi śpiywanie, pustelnik ostatnim  
aktem pokory błago i skamle, coby jego spowiedź  
wszyscy słyszeli. Tóż chto ón jest? Chto tyn wychu-  
dły, cirpiący borok, kieremu zimno ziemia posłaniem?  
To sługa grofa Zabrzeskigo, downego pana Górnygo  
Śląska, na kierego spóminek aż dygotki bierą. Tak,  
dyc jak pustelnik pado, ón jest jego sługa! Ón ska-  
mle i błago terozki o odpuszczynie grzychów, ón pa-  
do, że pokutowoł tukej za swego jegomościa, kiery  
tak Górnoślazoków ukrzywdziół, a kierego Pónbóczek  
zaklon w bryła węgło. To przeca jest ociec świętej  
Barborki, kiero za swoim tatulkim oręduje u Poniezu-

siczkal Wszyjscy, kiej olśnieni, poglądali na powleczo-  
ną mgłą rozrzewnienie gęba pustelnika. Ozległy sie  
szepty i ciche rozmowy. Dziepiyro ozwała sie jedno  
babulka:

— Mój Panie Bożycku, toć pamiętom, że kiej  
kogo drzewiej trefiło jakie nieszczyńście lebo chorób-  
sko, to jegomościnka Barborka zajźrała do boroka i na-  
widziła go w biydzie, a nihda nie przisła z gołą rącz-  
ką. Tóż tyż ją ludzie miłowali i przoli jej, chocia grof  
bół srogi i nawet swoja cera katował za ta pómc.  
Aże óna wziena ludzi, kierzy chcieli iść za nią i po-  
wiedła ich kajś precz. Padali potę niechtórzy, że ją  
tyn grof zasiekoł miecym wele Zobrze. Ja, ja, — pa-  
miętom... Bólach jesszy mało dziółszka, na sztworty  
rok mi dziepiyro szło, a terazki móm 90 lot...

Pustelnik zaś jęczoł cichućko, kiejby z za świata.  
Zaczon perchać, buchła mu krwia z garła. Głowa bez  
czucio osunęła sie na zboczono wiązka słomy. Dzie-  
piyro za pora chwilek nachylili sie kapelónek nad nim,  
a ón mamroł cosikej długo a długo. W izbie stało sie  
cicho, kiejby makiem posioł. A pustelnik prawiół a pra-  
wiół kapelonkowi. Kiej już skóńczół, dziepiyro kapelo-  
nek ozprowio ludziom, że tyn chłop, niby sługa, uszpo-  
rowoł mocka złocioków, kiej słuźół u grofa Zabrzes-  
kigo. Terazki dowo te złocioki, coby tukej dlo ludzi  
postawić kościół, kajby wszysjcy rzykali za jego jęgo-  
mościem, Skarbnikiem - Zabrzeskim, kajby wszysjcy  
obciążyni a opuszczyni mógli znałiść pociecha i pómc.

Kiej to ludzie usłyszeli, zarozki ozległ sie płacz,  
szlochano, bo i jakże! Koždy — kiej mu przyszło na  
kóniec, umiroł przez ty święty spowiedzi, bo do ko-  
ścioła bóło srogi kęs drógi; umiroł przez Świętych Sa-  
kramyntów i jeny zwónki leśne a stokrocie zwóniły mu  
na wiecny spoczenek, a aniołowie dusza ludzko prze-

do Pónbóczka wiedli tak, jak z ciała wyszła, przez pokropku i rzykanio. Terozki zaś już nie kwiotki leśne bydą żegnać uciekajaco duszycka. Terozki z łaski Skarbnikowego służy bandzie kościół, kaj każdy znalazie ucieczka i pómoc. Toć tyż, padom wóm, tak te ludzie buczeli, że aże coś! Pustelnik zaś z oczami pełnemi słozów śpiywoł:

W źródle cystości obmyto na wieki,  
[nie wypuszczej mie, Panno, z Twy opieki;  
Prosza: wyprow mie na dróga wieczności —  
[w świątobliwości.  
W ranach najdroższych, Jezusowy Męce,  
[ufom, Barborka, Ty zaś w Twoji ręce  
Dzierżyj ma dusza w ostatniej godzinie —  
[niechaj nie ginie...  
Terozki chętnie polecom swo dusza, dycki  
[i w ten cas, kiej już kónać musza;  
Barborko śliczno, oddeże mie Bogu —  
[w niebieskim progu...

I kiej pustelnik tak śpiywoł, ukozała sie w grocie jasność. A z ty jasności szła do ubogiego posłanio piekno frela, kiejby tyn obroz, co go niesą na procesyi, lebo „fana“ ze świętą Barborką, kiera brastfogórniczne dzierży szczwortygo grudnia. Jako i Óna to bóła: święto Barborka! Wszyjscy ostali stoć, kiej te niemowy. Bo tyż Święto ciągła wszyjskie ślipia do siebie, kiej stónecko najrostomilejsze. A pustelnik, kieremu już mgłą śmierci zachodziły ocy, wychachroł przez garło:

— Na, terozki mój Panie Bożycku moga we spokoju umrzyć, kiej oboczyłech swoja rostomiło Panil...

Barborka dotkła sie chłopca i tyn zarozki, kiejby nihda nie wstół.



— Na tóż podź, boroku... — zaszemrała, kiejby strumyk słodziuśkim głosikiem.

Dziepiyro jedyn berchmon stanął przede nią i pado:

— Przeboczą, święto Barborko... Jakóż bandzie? Można by tyn djosecki German poszoł precz ze Śląska! Zgorszyli sie ludzie że aże coś i dziepiyro kierysi zegrodnik piznół grubeloka w głupi pysk, co przy święty Barborce spómino złego.

A tyn berchmon ból z Bytumia, zaś tukej przyszoł w odwiedziny do swojoków. Toć świnto Barborka pedziała mu tak:

— Doczkej, chłopecku. Już idzie cas... Jeny trza wóm rzykać a cirpieć, to bandzie wszyjsko fajnie. Przecia jezdeś berchmon srogi, to i przy moji pomocy wydzierzys. Już idzie pora, doczkej...

I zarozki tapła w ziemia, wziata pustelnika za ręką i szła ś nim w loch, aże znikli w nim. A skowronki, wróblowie i insze skrzydlate przociele pustelnika ze srebrniusim szczyrkaniem frugły za nimi i zwóniły, hale zwóniły, że zdo sie, kiejby rzykały pieśniczka:

Barborko święto, perło Jezusowo,  
Ściżko do nieba górnikom gotowo,  
Wierno przy śmierci Patronko, smutnemu,  
[Konającemu...

\* \* \*

Z legendy widoczne jest, że stanowi ona dalszy ciąg wątku uprzednio podanego. Góra św. Anny, notabene z bazaltu, a więc pochodzenia wulkanicznego, opiewana już w pierwszej, zacytowanej przez nas legendzie, znajduje tutaj już oczywisty dowód zainteresowania się górników śląskich Kalwarią, zbudowaną

na jej szczycie. Znajduje ona potwierdzenie w rzeczywistości historycznej. Oto przed trzema wiekami jeden z zakonników tu osiadłych, odbywa pielgrzymkę do Ziemi Świętej. W tęsknocie za krajem, wydaje mu się Golgota identycznie podobną do swojackiej, śląskiej góry. Podobieństwo szczegółów uderza go na każdym kroku. Tu skała i tam skała, — tu dolina, tam dolina... Stąpa w zachwyceniu. Rozumie w tem wolę Bożą, znak cudowny. Wraca z gotowym projektem odtworzenia na Górze św. Anny — Kąlnarji. Z zamkniętymi oczyma obchodzi wokoło górę, wskazując miejsca, gdzie powinny stanąć kaplice i stacje. Święty jego zapał ogarnia wszystkich. W łoskocie młotów robotnicy kują skałę, twardy bazalt, miękki i podatny wapień. I dziś, stoją jak dawniej kute w kamieniu kaplice Kąlnarji, gdzie kształt fantastyczny skały przedziwnie łączy się z dłutem i naturalną erozją. Z Góry św. Anny widać nieomal cały G. Śląsk: Opole, Bytom, legendarne Zabrze, widać także kaplicę św. Doroty w Groźcu „za Jordanem“. Jordanem nazywają Ślązacy rzekę Brynicę, która dawniej była granicą między cesarstwem niemieckim a rosyjskim.

(Zanotował Andrzej Łakomy w 1908 r.).

---

## KRES POKUTY SKARBNIKA.

Ale niech im sie nie zdo, że to bół już kóniec. Musza im opedzieć, panoczku, jako to bóło drzewiej na grubach. Kóždy dzień rano, skoro świt, zbiyrali sie berchmany w cechownie, kaj rzykali i śpiywali do święty Barborki. To tfało około pół godziny. Dziepiyro sztajger wszyjskich przewołał, kóždy dostał swój nomer i musioł zlazować pod ziemia z lampką olejową w ręce. Kiej już zleźli, musieli iść pora pocirzy na bon. Tukej ślepry brali wózki i jechali do przodków po wągłe, kiere wykopowali berchmony. Zaś taki berchmon leżoł sam na spągu i podkopowoł wągłe kilofym tak daleko, jak jeny móóg sięgnąć. Na wirchu wywiertoł dziura i wkłodoł do ni patróna i ździebko nafilowany prochym. Z jedny strony bóło pomazane smołą i opwiniony knotym ze siarką. Tyn knot berchmon zapoloł i wołał „poli siel“. Kóždy, kto jeny to usłyszoł, zarozki uciekoł do wyderdu drab-drab! Kóždy berchmon musioł wydać na szychta dwanoście beczek wągło: to bół jego col. Od kóždy beczki bół dynk osim dwaścia fyników, ale z tego odciągali dycyki za materyjo i proch. Moje koleksy, coch ś nimi fedrowoł wągłe, prawią, że terozki jest blank inakszy. Miymce sprowadzili z Anglje jakiesi djoseckie „flotmanki“. Tako maszyna narobi gruchu, piere kiej wściekło w nowoki, dziura drab-drab odwali, ale cołko ręka tak pokopie, że kóždy berchmon, kiery ś nią urobio wągłiel, inwalidą jeny ostaje, a psinieć zarobi

Przeboczą, musza im prawić, jako to bóło z tymi chłopami, kierzy szukali pustelnika. Dyć te chłopcy, to byli srogie rycerze, wojoki, kiere drzewiej Miymcom sie nie chciały zaprzedać. Rostolicne tuleje i mamlasy prawią o nich, że to są wojoki święty Jadwigi, ale to psiniec prowda, bo ta niby Jadwiga, to bóła Germanka, dycht Niemra. Mnie sie zdo, że te wojoki, to bóły św. Barborki. Oni sam z Konradem Kędzierzawym ostali tukej na Górnym Śląsku i dzierzą straż nad całkim narodem. A o tym Konradzie nasz gornośląski pisorz, Jaroń. Toć te wojoki, kiej pomer sługa pana Zabrzeskiego, zaczyny chodzić po wsiach i ciągiem każdymu prawili, że nielza jest słuchać Germana. Jako bóło, to bóło, aże przyszoł czas, że napotkali tyż jedynego berchmona, kierey spokopił się, iże to można bydą jakiesi lute, protiwi Miymcowi, witezie. I kiej go trefił roz kiesi taki jedyn witeż, to mu sam ale dziepiyro tak prawiół:

— Już przyszoł czas. Tela się krwie, mocka potu poloło, że już bandzie kóniec panowaniu Germanów. Dyć jeny dej sie pozór, a oboczysz święto Barborka.

A tyn berchmon pado:

— Jakoże ja obocza, kiej w godkach stoi, iże ją tatulek okszą posiekoł i mieczym przebódl?

— Jako sam bóło — prawi wojok — Pónbóczek jedyn wi. Wiera, chłopie, padom ci, jak bóło, to bóło, a oboczysz ją, ta nasza Orędowniczka.

Tak pedzioł i znikł.

I od ty chwile przeszło już pora cet lot, a tyn berchmon ciągiem pracowół; kiej mu kapło ździebko grosiwa, to wszystko dło wnęków szporowół, boć zestarzoł sie już, zestarzoł. Kiej to garbate domosko,

tako sam i on dzierzył już mocka lot na grzbiecie i rząd po rząd zjiżdżoł jeny na kopalnia. Aże roz przytrefiło mu sie coś, co im, panoczku, zarozki powia. Że to sztajger doł go pu tamie, toć wachówoł sam i ciągiem dowoł pozór na każdo szpara, coby ją zarozki zafantować i pomazać gliną. Bóło to w dzień św. Barborki. Tak se ten chłop z różańca pocirze rzykoł a dumoł, jak zwyczajnie — kożden, kiery już wiela oboczył i wiela przeżył. Bo na świecie dzioły sie cudeńka. Pierońskim Germanom przyszło na gańba przewieczno. Przegrali srogo wojna, a jeich Wiluś suchołapka poszoł precz. Wszystkie rechteory, beamtry, to aże mieli na gębach paskudne fleki od strachu. Ludzie zaś wiedzieli, jak sam to gizdarstwo wyciepać ze Śląska. Dyć te kwaki, te szmaty spokopili sie, co im cołki noród nabącko, aże im krwawy śpik na lajer wyskocy. Jozeh dycki padoł, że Pónbóczek cirpliwy, ale pamiętliwy, — tóż i przydzie czas na Germanów. Toć i przyszoł. A tyn tamiorz na różańcu odmowio, kiej go zniebaczka obłoła srogo jasność. Dziwo sie a dziwo i widzi: kajś z za filora wyłazi jakisik karlus, bioły na gębie, chocia na dole jest maras wągło, a wejrzenie mioł ci sam takie słodziuśkie, kiej miód lipcowy, modre, kiej bławacie w rzy, lecące kajś w mroki, niby do rodzinnego gazdostwa. Pojżroł na chłopca i nic. I wiedzą? Poszoł pu tamie i zaczon sie tropić z odparciem dźwierzy. A sam za dźwierzami bóło piekło, aże okropa. Dyć chłop ni mógl się spokopić, co to bandzie.

Hale że to przeca bół odpowiedzialny za tama, tak pedziół:

— Panoczku, co to robią? Idą precz od tamy, bo sam ogień i gazy...

A tyn pacholek nic, jeny ciupie we fanty.

Aże chłop ozeźlił sie i pado:

— — Dyć prosza ich. Nie barują się z tym pieroństwym, bo bandzie źle. Można przydzie, że im kryką przypola i bydą mieli... Dadzą se pozór.

Pachołek nic, jeny ciupie. Toż chłopą zebrała srogo lutość i jak nie skocyl!

Mało wiele chybiało, a gichnąłby tego pachółka w sznupa.

I, wiera, chtoby wiedziół, coby sie stało, kiejby w okamigu nie ukozała sie święto Panienka, co w cechowni na obrazie bóła — niby Barborka.

— Bydź cicho! — rzekła do chłopą — To jest mój bratek. Jozech mu kozała wliść sam w zawaliska...

Berchmon gruchnył do stópek Święty i zaczon je boszkać, a przez ślozy prawić:

— Przeca sam nie można chodzić!... Prowda, ni?... Przeca sie znają na hajderce, ni?... Cobyh jo poczon, kiejby sie wyrwały gazy? Maryjko najrostmilejszo!...

Pójdą tustela, pokoża im inszo tama... Pójdą.

Tak sie tyn chłop ślimtoł, a niechcioł puścić święto Barborka. Tóż óna dziepiyro pojzrała na niego i pado:

— Jakóż? To mie, waszy Patronce, nie wierysz? Tóż jeny dejsie pozór, co ci powia: Sam, w tych zawaliskach jest mój tatulek w wągłu zaparty, kieremu Pónbóczek darówół grzychy. Na, odeprzyj mi, jeny gipko, człecze małej wiary!...

— Przeboczą, święta Barborko! Wiera im, wiera! Darują mi moja mało wiara. Dyć jo im przaja i zrobia wszyjsko, co kożął...

I porwoł kilof i piznoł w fanty, poprawiół pyrlikim, aże sie tama otworzół i dziepiyro święto Barborka szła przód, a za nią jej bratek i tyn chłop, co

wachówół przy tamie. Wónioł swad drzewa stępłowego. Stropy downych filorów, ozpolone gorętwą długiego ognia, żarzóły sie, a w nich tłały malućkie ogieńki, kiejby chroboczki świętojańskie. Sam, kaj sie fieszty oberwały. pod samiuśkim wierchem, porobiły sie jakiesi jamy, kierych kónca ani widno. Dyć w tych kopulastych wyrwach poświsty wiatrzyska bóło sły-chać, tapania wągło i szum wodospadu. To pewnikiem żyła wodno ostała kajś przerwano. Strasznie tukej bóło, aże okropa i jeny berchmon sie dziwoł, iże święto Barborka, zwyczajnie kiej każdo baba, nie boła sie iść przodzi. I kiej tak śli, kajś w wągłu napocyno sie tapanie, niby grzmot i jakiesi głosy jęczące a skam-lące jeny hałasieć:

— Ostalichmy, kiej te owce bez skotoka. Niel-za nóm cosikiej uczynić,— jeny ciągiem musimy spać a spać... Chtóż nos wywiedzie z dómu niewoli, chto?..

— Dyć się tela nie ślimtejciel — pedziała święto Barborka — Już przyszoł na wos czas!..

Skoro te słowa ozleciały sie w kopalnianym ćmoku, zarozki z poboków jeny wyłazić srogie chłopcy w szołomach żelaznych na głowach, w pięknych szatach i skłących zbrojach niby żdrzadełka; każdy w gar-ści drzierzyl miecz lebo oksza.

Chłopa przejon śmiertelny strach i cudowół sie a dziwoł tym wojokom skiż tego, że ani sie spodzioł, coby tukej w kopalni bóło tela panoczków. A to jeszcze nie bóło wszyjsko, bo kiej jeny ruszyli sie, to szoł od nich taki szum a larmo, takie szczyrkania, kiejby zwóny na piekarskim kościele na jutrznia zwóniły. Toż podziwiają sie, panoczku, co te wojoki prawili:

— Chybiało nóm im, święto Barborko, chybiało! Juzechmy myśleli, aż do kónca świata bandzie Ger-

man nami nagrowoł a pomiałoł. Jużechmy myśleli... (Bo przeca wiedzą, jako to bóło cinszko w niewoli, praa, panoczku? Ale wola Bożo! Inszego wygibu nie bóło, prowda, ni?...)

I kiej ich św. Barborka przeżegnała, to zarozki pošli, kajś w kopalnia; śli fórt przodzi, kiejby sam w ćmokach widzieli jakiesi cuda, cudeńka. Żeć to były chłopy mocarne, to Germany kielce se kiesi, pierońskie mamlasy, na nich wyłómali. Faronal No i widzą, na co tym chacharom germańskim przyszoł... Nasze powstańce zakutali ich do imentu, pierońskie kryjom—lejóm fanzolom sprawili.

Zaś tyn berchmon z tym młodziuśkim karlusym ostali stoć przy srogim poboku i dziepiyro tamiorz przyjrzoł sie św. Barborce. Szykowno bóła ś ni dziółszka. Ja, baić, jużech im, panoczku, o niej prawiół, ale doczkejcie, skóli tego zechmy na to przyšli, to im powia więcy. Rychtyk, żebych im prowda opedzieć, to św. Barborka mióła modre, słodziuńsie oczy, włoski — niby gorkie słonko najrostomilejsze, cołko gębusia zaś tak wyglądała, kiejby rozkwitło różyczka. Szata bóła fórt szeroko, a piękno, — faronal Na mieczu sie podeprzyła, a karbitka dzierżyła w lewej ręczce. Kiej se legna na radzionkowskich nowociach, to mi sie dycki zdo, jako skroś połów kludzi sie sam ku mie święto Barborka. Jeny se spómnia, panoczku, ta święto Pani, a zarozki wóm sie tako uczyni, jakby markotności, a cołkiego zła zabyli.

Rychli sie im brzemie ulży. Jeny jakosi szmatła-wo ciućma w ta naszo Pani nie wierzy.

— Co to terozki bandzie? — Tyn karlus, niby bratek, pado do święty Barborki.

— Dyć sie tak nie śpiechej, loboga świętego, zarozki oboczysz — pedziała mu siostrzenka. I dzie-



piyro zaklupała trzy razy swoim mieczym w pobok i napoczyna wołać:

— Hej, tatulku! Są-meście sam?...

A w tyn móment kajś w wągłu uczyniło się tapanie, pobok sie ozewrzył, a w nim stanył jakisik panoczek z długą, siwą brzodą, w kabocie górniczym o złotolitych kneflach, ze srybrnym kilofkiem sztajgierskim w ręku.

To bół pon Skarbnik-Zabrzieski.

— Ceruszeko roztomiło, Barborko! — pedzioł i patrzoł gorkim ze szczyńścia wzrokiem na Święto, kiero napoczyna tak ozprowiać:

— Przyszłach wos uwolnić, tatulku. Pónbóczek odpuściół wóm wasze winy... Jezdeście wolni! Za tesknota, kieracheście przecirpieli, mocie terozki wolność.

Toć zarozki święto Barborka uczyniła mieczym krzyż nad tatulkim i osoba jego znikła. Jeny zatrzepotało coś u wierchu, kiejby skrzydliczki ptoszka i doł sie słyhać jasny, radosny głos:

— Bóg zapłać, ceruszeko! Szczęść ci Boże! I tobie, synekl...

To bół zbawiono duszyczka pana Skarbnika-Zabrzieskiego. A tyn młody karlus, niby bratek św. Barborki, stoł jeny i patrzoł porząd, zaś tamiorz o ździebko nie pomer ze szczyńścia, kiere oglądo. Tóż Święto rzekła do niego tak:

— Kiej wyjedziesz z kopalnie na wierch, dosz pedzieć ludziom wszyjsko to, coś sam widzioł. Jużech posłała na Śląsk wojoków, kierzy wos wspomo-gą, toć jeny dejcie sie pozór, a bandzie wszyjsko fajnie...

A do swego bratka to pedziała tak:

— Na tóż podź ze mną do nieba, boroku! Bandzie ci sam lepszy u Pónbóczka.. Można już czas, cobyś miał spoczenek.

\*                      \*

Ta godka opedzioł mi łońskiego roku mój koleks z Radzionkowa.

Ja, ja — to zaś tak drzewiej bóło. A te wojoki św. Barborki to mocka ludziom pómogli w pirsze powstanie, a można tyż terozki wóm pómogą.

(Spisane w-g opowiadania Hajdy w początkach maja 1921 r.  
w czasie III powstania).

---

## JAK BRAT ŚWIĘTY BARBORKI NIE CHCIOŁ OSTAĆ W NIEBIE.

Bóg im zapłać, panoczku, że mie tyż nawiedzili, Bóg zapłać! Toć mi już nie do światu, już terazki przyszoł na mie czas. Póda do Pónbóczka, boch już słaby. No i oboczą, co sie tyż stało... Mómy Polska, prawda, ni?... Ja, toć ciekawi są, jako terazki w kopalniach? Na, tóż im byda ozprawioł. Kiej tyn pon Skarbnik-Zabrzeski poszoł do nieba i kiej jego synek tyż, to kopalnie ostały bez wachtyrza. Boć tyn synek pana Zabrzeskiego dostał od Pónbóczka władza nad wszyjskimi kanónami, a to skiż tego, coby naszym powstańcom doł pómc. I dowoł, dowoł, aże fardońskie lizone germańskie musieli iść precz za Odra, tak ich nasze chłopcy drab-drab! — wyciepli. Bo wiedzą, w nos ta darmo rza ciepać, kiej górnośląskie nowocie mocka lot porosto. Nielza nos bóło obsiewać, kiejzechmy już drzewiej obsioni. Toćzechmy se dali rada z wszyjskimi chacharami.

Jakożech im już rozprowioł, bratek św. Barborki siedzioł na obłokach w niebie i rząd porząd ciepoł rostomajte pierony na grynszuca i orgesza. Ale kiej przeszły powstania, pachółkowi napoczono sie cnić. Cięgiem jeny dumoł, jako to bóło mu przodzi na kopalni. Pónbóczek tak, człowiek owak, toć tyn karlus już sie miejsca ni móg znaliść. Co sam ón miół, niby tyn pachółek, do cynienia na niebieskich pokojach, kiej w kopalnie to bół cołki władyka i tam miół niebo, ale niebo!

A na świecie, jako to na świecie — dźioły się cudeńka.

Jeny w kopalniach nie bóło wachtyrza. Przyszół ku mnie ze swoimi wojokami pon generół z Polski, słyszółech, jak te pieśniczki nasze po cołki ziemi sie ozlegały i padom im, panoczku, że już nie chca więcej, boć to, coch sie dycki dumół, stało sie ciałem. Przeca Miymce a Miymry sam od nos tak uciekali, kiejby ich bąk w zadek uszczypił. Chocieh ślepy, a mało-wiele by stykło, cobych kierego orgola nie fochnął w lajer, ale dołech pokój: niech gibko idą kajś we świat.

A Skarbników synek ni móg sie miejsca znaleźć. Na tóż kiej przyszła do niego święto Barborka, to ón prawiół do niej:

— Czamu jo, sistrzenko, poszół z kopalnie? Przeca mi tukej jest źle. Co jo móóm robić na niebieskich pokojach?... Kiej se jeny zapieronuja na otucha, to wszyscy święci na mnie sie chichrają...

Toć święto Barborka uśmiechła sie, podumała i rzekła:

— Jakóż? To nie chcesz ostać w niebie?

— Ni, moja rostomiło sistrzenko! — pedziół synek — Mie sam w kopalnie niebo, ale niebo! Kajżebych mi bóło tak fajnie! Koždy dzień berchmony strzylają, a rzykają lepszy od aniołów z nieba. Pieśniczki słyhać bez cołko szychta... Wągiel tapie, połno gruchu, wiater wieje, woda szumi, berchmon pierie w skała, a jo se chodza i chodza, a ciesza sie farnońsko, boć to przeca moja dziedzina...

Toć im padóm, tyn synek tak prawiół, a od wspominków, to mu ślozy fórt po licach leciały. Przytrefił sie tyż kierysi anioł, co kajś za chmurą słyszół godka brata św. Barborki i zarozki napocząn sie cieszyć a chichrać:

— Tóż podziwejcie sie, ludziel Bratek św. Barborki nie chce ostać w niebie! Tóż podziwejcie się, jak sie ślimto! Mazokl...

Jak tyż tyn synek to usłyszol, jak nie skocy na tego na tego anioła z pyskiem i wydziwio:

— Idźże, aniele, odemniel Bo, niech mi Pónbóczek daruje, jeszczebych cie gichnął po gryzoku i te-labyś mioł!

Skoro to jeny pedzioł, w cołkim niebie zrobiół się krzyk a larmo, a hałas. Aże Pónbóczek, co se z Panem Jezusiczkiem i Duchem Świątym siedzioł na tronie, doł pedzieć święty Barborce, coby zarozki ze swoim bratkiem szła przed Jego nojświętsze Oblicze. Tóż ci gipko przyšli i dziepiyro Pónbóczek prawi:-

— Jako ci sie zdo, chłopecku? Bandziesz mi tu-kej larmo robiół? Pococh cie tukej wzion?...

Synek ostoł stoć, kiej ta niemowa, z noga na noga przestępuje i nic.

Tóż święto Barborka jęna rozprowiać tak a tak: co sie tymu jej bratкови tukej cni, wszyjscy święci mu dopolają, że ón szołby rod na kopalnia. a Pónbóczek jeny słuchoł, siwo brzoda świętemi palicami sie czesoł, słuchoł i znieobaczka pojźroł na synka i pado:

— To sam ci w niebie tak źle?

— Mój Panie Bożycku — chłopecek gruchnył krzyżem przede tronem — ulitują się, a pošlą mie znog na kopalnia.

— Czamu to?

— Tóż pozwolą, a byda im rządziół, jak umia. Przecia jo nie chca terozki opuszczac swoich chłopów! Można by sie sam na dole wydarzóło jakie nieszczyń-ście, tobych sie miejsca nie znalazł!

Dyć Pónbóczek drzewiej prawili, że kopalnie ni

mogą ostać bez wachtyrza. Jeny pozwolą, a pódą skądzież przyszoł. Dyć nie wiedno mi, jakie terozki pola wągłowe wyrobiają, jak tyż strop dzierży, czy kaj puchów, lebo inszych gazów nima... Mój Pónbóczku najrostomilejszy, dyć sie ulitujal...

Zaś Pónbóczek podumoł pora chwil, poszuszekoł coś z Panem Jezusiczkiem i Duchem Świątym, wszyjscy sie uśmiechli, dziepiyro pedzioł:

— Na, tóż kiej ci sie tak cni, to rypej na kopalnia! A dej sie pozór, cobyh cie nie musioł stamtąd zabrać...

Kiej to synek usłyszol, zarozki sie ucieszył i że to przeca nie szło rzeknąć Pónbóczkowi „Bóg zapłać“, to zaczon śpiywać pieśniczka święto:

„Niechaj bandzie pochwolony

Przenojświętszy Sakrament!

Teroz, zawsze i na wieki wieków amen!“

I zarozki wsiodł sie na świerzopa, co sie na niebieskiem nowociu pasła i tak se ta jechoł po mleczy dródze do samiuśki ziemi, aże sie oparł dziepiyro przy szoli, kiero miała ślecieć w dół. Puścił świerzopa, coby napowrót do nieba poszła, a sóm oblekł górniczy kabot i shangówali go na dół.

(Spisano w-g opowiadania Hajdy w lipcu 1922 roku).

---

## ZAKOŃCZENIE.

Przytoczyłem zaledwie sześć legend, spisanych według opowiadań Hajdy, — a ileż żyje wśród górników! Wieje z nich prymitywny czar ciężkiej pracy, krwawe wspomnienia minionej doli, bezgraniczna wiara w sprawiedliwość i miłosierdzie Boże, a przytem nieprzemierzona tęsknota za Polską. Legendy te powstały z samego rdzenia ludu górnośląskiego, były dla niego „arką przymierza“ osłodą ciężkiej niewoli. Więc słusznie pisze w „Nieznanym Kraju“ Zofja Kossak-Szczucka:

„I — na Boga! jeżeli może się zdarzyć, że narody znikają z powierzchni ziemi, jak w czasie potopu lądy, — że zatracają się i przeinaczają, — i jeżeli podobny los spotkałby Polskę, to pewnikiem niezbitym jest, że Górnoślązak byłby ostatnim żywym Polakiem na świecie, ostatnim, coby swej mowy i odrębności narodowej zapomniał“.

Muszę jeszcze zaznaczyć, jak górnik śląski odnosi się do Boga i św. Barbary. Zapytywany o to, przez nieznającego kopalni, górnik odpowiada:

— Jakóż byś to chciół, grubeloku? Z samym Pónbóczkiem rozprowiać? Toć dej sie pozór, co ci powia: Kiej mosz prośba o lepszy zarobek, lebo letszo robota, to kaj pódziesz: do berchdyrechtora, lebo do sztajgra?

— Na, toć do sztajgra! — odpowiada laik.

— A widzisz! Takim samiuśkim sztajgrem dło nos, górników, jest święto Barborka. Pónbóczek mo mocka inszych spraw na głowie. Aż mu nie bydą zawracać głowy, jeszcy górniki... Od spraw kopalnie jest święto Barborka.

Również według tego samego mniemania Skarbnik jest odpowiednikiem dozorczy, nadgórnika, bezpośredniego przełożonego pracujących na dole.

„Lecz gdzież się podziewa obecnie Skarbnik, duch dobry, opiekun kopalń, choć fantasta? Czy widują go jeszcze ludzie, jako starego, przygarbionego górnika z lampą, tem jeno odrębną, że ze światłem czerwonym? Czy, przystosowując się do warunków i postępu, jeździ może własnym wózkiem elektrycznym, jednookim, sunącym cicho, bez szczerku? Czy w zastępstwie Skarbnika strzeże górników ich słodka opiekunka, święta Barbara?—pyta Kossak-Szczucka i dodaje:

„Oczy błądzą po ścianach i stemplach, wzdłuż przewodów. Czyż rzeczywiście one zabiły legendę? Ej-że! Ej-że! Dzisiejsza kopalnia z węzowiskiem rur, kabli, pociągów, szyn, sygnałów, wichru, komór ratowniczych, sprężonego powietrza, zgrzytających trybów, jest chyba stokroć bardziej niesamowita i przerażająca, niż mogła nią być dawniej, gdy zagubiony w wąskim chodniku, z małą latarką w ręku, górnik kuł pracowicie kilofem od zmiany do zmiany. Duchy muszą być! Wierzenia jedne umarły, lecz nowe się zrodzą, bo człowiek zbyt samotnym czułby się bez nich w obliczu żywiołu“.

Tak, istotnie! Ma kopalnia swoje legendy, ale niechętnie mówią o swych wierzeniach górnicy tym, którzy zwiedzając podziemia, natarczywie o te wierzenia dopytują. Górnik kpi sobie szydlowie, zwłaszcza z tych, próbujących go przez poczęstowanie papierosem ująć, za opowiadzenie jakiejś legendy:

„Przyszło ci na dół mamlas, kiery jakiesi książki ukłodo. Loce po grubie, loce i ciągiem pyto: a Skarbnik, kaj jest Skarbnik? Jakby można bóło prawić o tem na dole... Nasze godki są nie do klachy, lebo fanzolenia...“

Więc gdy w dniu świętej Barbary ujrzysz, czytelniku, owe szeregi kroczące w milczeniu do świątyń Pańskich, ujrysz te twarze zamknięte w sobie, dumne i w zmarszczki pomięte, jakby w męce umarłe, skłoni z szacunkiem głowę przed szarem żołnierstwem pracy,



tak nieugiętem w walce z naporem germańskim, w walce, ze złą dolą. I podaj im serce na dłoni!

O Skarbniku znam w języku polskim tylko jedną piosenkę, a i ta jeszcze jest tłumaczona z niemieckiego:

„Skarbnik, wniknąwszy w ziemi cień,  
By skarbów strzec i w noc i w dzień,  
Górnika pracę darzy rad:  
W płodów ziemicy cenny kwiat,  
Na chleb dziecinom w chacie tam!  
Skarbnik pozdrawia: „Szczęść Boże Wam!”

„Skarbnik, wniknąwszy w ziemi cień,  
Górnika wśród pobożnych pień  
Strzeże przed zgubnych losów złem:  
Przed gazów mgłą i śmierci snem.  
Górnik — choć żmudny — szczęśliw tam!  
Skarbnik pozdrawia: „Szczęść Boże Wam!”

Skarbnik, wniknąwszy w ziemi cień,  
Śród wiecznej nocy tajnych tchnień,  
Majestat pracy w pieczy ma,  
By sławę czystą miał, jak łza,  
A wrogów moce zgniata tam.  
Skarbnik pozdrawia: „Szczęść Boże Wam!”

„Skarbnik, co szybów strzeże cień,  
Gdy górnik pracy kończy dzień,  
On życzy mu: „dobrego snul  
A gdy wypoczniesz, powrót tu!  
Obudzę sam — znak dobry mam!  
Dziś żegnaj mi — „Szczęść Boże Wam!”



Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000683223



II 112467